ára: 200 Ft

Pismo założone przez PSK im. Józefa Bema na Węgrzech

Nr 108

GŁOS POLONII

15 marca 2012 r. Kwartalny dodatek Polonii Węgierskiej

W NUMERZE

- Galicjanin z Szegedu
- Przyjaźń w trudnych czasach
- Odeszła we śnie
- Ópusztaszer i kraina Lendzian
- Węgierski gulasz i polskie pierogi
- Opowieść leśnych konwalii

Z życia stowarzyszenia

Alex Szilasi

Karnawał wśród najmłodszych

„Kobiece sprawy”
Artur Szőcs
i Csaba Zöld

Gimnastyka dla dojrzałych pań

Nauka języka polskiego

Zajęcia w Klubie Matki Polki

Fot.: archiwum, G. Horváth, E. Korek, B. Pál, M. Végh, Z. Vida

Dni Przyjaźni Polsko-Węgierskiej

Poznań - 2011

Óbuda - 2010

Március 23. A Lengyel-Magyar Barátság Napja

23 marca Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej

Przemyśl - 2007

Győr - 2006

Debreczyn - 2008

Krosno - 2009

Fot.: archiwum, A. Buskó, BB. Szadai

Fot.: BB. Szadai

W dniach 22 i 23 marca 2012 roku centralne obchody Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej odbędą się na Węgrzech w województwie Csongrád w Ópusztaszer i Szegedzie, a ich szczegółowy program m.in. znajdą Państwo na stronie internetowej: www.polonia.hu.

W tym roku święto to obchodzone jest już po raz siódmy. W latach poprzednich głównymi miejscami spotkań były: Győr, Przemyśl, Debreczyn, Krosno, Óbuda (III dzielnica Budapesztu) i Poznań.

Dzień Przyjaźni Polsko - Węgierskiej
Lengyel - Magyar Barátság Napja
Województwo Csongradzkie
Csongrád megye
2012

23 marca Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej

Március 23. A Lengyel-Magyar Barátság Napja

Drodzy Czytelnicy!

Za kilka dni, już po raz siódmy świętować będziemy Dzień Polsko-Węgierskiej Przyjaźni.

Przyjaźń to wielkie słowo, tak ważne jak miłość. A przyjaźń polsko-węgierska? Czymże ona jest w istocie? Stan, który panuje między nami, Polakami i Węgrami, jest odmianą sympatii, trochę taką jak „prawdziwa", nieskażona wyrachowaniem, bezwarunkowa miłość, a więc dzielenie się sercem.

Powiadają, że dobrym lekiem na serce jest pasja. Znam sporo takich osób, których pasją są właśnie polsko-węgierskie klimaty i wszystko to, co ma z nimi chociaż odrobinę wspólnego. Oczarowanie, ale i obowiązki, stan ducha i odmiana pewno nie zrozumiałej dla innych miłości. Uczucie to ma rozmaite oblicza, ale myślę, że wszystkie miłości w życiu gdzieś się łączą i potęgują. Stajemy się dzięki nim silniejsi i mamy czym się dzielić z innymi.

Taka wartość sama w sobie, jaką jest sympatia obu naszych narodów, bardzo jednak zobowiązuje. Pomyślmy o tym szczególnie w dniu urodzin gen. Bema, kiedy, jak co roku, również teraz spotkamy się przy jego budańskim pomniku.

Bożena Bogdańska-Szadai

Kedves Olvasóink!

Pár nap múlva ünnepeljük, immár hetedik alkalommal a Lengyel-Magyar Barátság Napját.

A barátság nagy szó, legalább annyira fontos, mint a szeretet. Lengyel-magyar barátság... – valójában mit is takar ez a képződmény? A köztünk és a magyarok közt meglévő állapot valamiféle szimpátia, egy kicsit olyasféle, mint az "igazi" – tehát számító és hamis szándékokkal nem terhelt – feltétlen szeretet, azaz a szív kitárulkozása.

Azt mondják, hogy a szenvedélyes elhivatottság erősíti a szívet. Igen sok embert ismerek, aki épp a lengyel-magyar kapcsolatok hangulataiban leli szenvedélyét, s mindabban, ami egy kicsit is közel áll hozzájuk. Legyen az elbűvölés, de akár felelősség, lélekállapot vagy mások számára a szeretet egyféle, bizonyosan felfoghatatlan változata. Ennek az érzeménynek bizonyosan számtalan arca van, de úgy gondolom, hogy végső soron a szeretet-darabkák egyesülnek és sokasodnak az életünkben. Általuk erősebbé válunk, mi több, van min osztoznunk másokkal is.

A nemzeteink közt meglévő szimpátia, mint önmagában vett érték, ugyanakkor nagyon is kötelez; gondoljunk erre különösen Bem apó születése napján, amikor majd – mint eddig évente – találkozunk budai szobránál.

Bożena Bogdańska-Szadai

SPIS TREŚCI

Przesłanie (R. Kowalski) 4

Święta Polsko-Węgierskiej Przyjaźni 4

Ópusztaszer i kraina Lendzian
(A. Szalai) 5-6

Delikatny pacient z Ópusztaszer
(B. Bogdańska-Szadai) 7

Galicjanin z Szegedu. Wywiad z K. Biernackim
(B. Bogdańska-Szadai) 8-9

Przyjaźń w trudnych czasach
(A. Janiec-Nyitrai) 10

Wolność i przyjaźń
(ks. L. Kryża SChr.) 11

Węgierski gulasz i polskie pierogi. Rozmowa z ministrem J. Borkowskim
(B. Bogdańska-Szadai) 12

Z życia stowarzyszenia 13

Furaż Pegaza. Odeszła we śnie
(ABRA) 14-15

Opowieść leśnych konwalii. Ferenc Molnár: Galicja 1914-1915. Zapiski korespondenta wojennego
(A. Szalai) 16-17

Ciekawe wydawnictwa/ Érdekes kiadványok 17

Határtalanul
(T. Trojan) 18

Konferencia mozgássérült emberek rehabilitációjának elősegítéséről Rzeszówban és Krakkóban
(E. Sárközi) 19

Co ma wspólnego źdźbło i ochrzczony?
(T. Szypulska) 20

Radość pisania
(M. Ágoston) 21

Kontakty 22

Informacje konsularne 22

Szanowni Państwo

Roman Kowalski

Marzec jest wyjątkowym miesiącem w naszych relacjach z Węgierskimi Przyjaciółmi. 14 marca, w dniu urodzin generała Józefa Bema, budapeszteńscy Polacy wspólnie składają wieńce pod jego pomnikiem, w trakcie tradycyjnych uroczystości organizowanych przez Stowarzyszenie Kulturalne Polaków na Węgrzech, noszące od 54 lat jego imię. 15 marca, w dniu narodowego święta Węgier również świętujemy razem, a na placu Generała znowu gromadzą się tłumy Węgrów. 23 marca to od niedawna Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, ustanowiony decyzją parlamentów naszych krajów, obchodzony pod patronatem prezydentów Polski i Węgier. A podobnych miesięcy jest przecież więcej – czerwiec, wrzesień, październik… I tak od wielu, wielu lat. To fenomen, wyjątkowe zjawisko, z którego możemy naprawdę być dumni, bo przecież ta szczególna przyjaźń to nasza wspólna wartość, o której także dzisiaj powinniśmy pamiętać i dalej ją wzbogacać, teraz już we wspólnej Europie, będąc pod tym względem wzorem dla wielu narodów. I nie zrażając się czasami mniej życzliwymi uwagami na Jej temat.

No właśnie, Przyjaźń Polsko-Węgierska, co ona właściwie oznacza? Osobiście uważam, że po kilkuset latach powinna doczekać się niezwykle poważnej, nie tylko już historycznej, bo tych wiele, ale naukowej analizy. Może ktoś kiedyś podejmie to wyzwanie i bez cienia wątpliwości wyjaśni, że nasza przyjaźń spełnia wszelkie kryteria tej prawdziwej. Starożytni filozofowie uważali, że przyjaźń to cnota i że istnieje kilka rodzajów przyjaźni. Ta idealna, będąca wartością samą w sobie, i te spełniające pewien cel – przyjemności lub użyteczności. Bez wątpienia przyjaźń polsko-węgierska spełniała i nadal spełnia ważne cele, bo trudno zaprzeczyć, że przyjemnie jest myśleć, iż tuż obok mamy w tym trudnym świecie przyjaciół, którzy tak po prostu darzą nas sympatią, a co do użyteczności, to historia wielokrotnie ją udowodniła. Czy to też przyjaźń idealna? Może? Obok naturalnych czasami dyskusji i sporów, mimo czasami mniej aktywnych etapów naszych relacji i różnych konfiguracji politycznych, w których przyszło nam działać, mimo często zrozumiałych innych priorytetów i kierunków działań nie ulega wątpliwości, że ominęły nas poważne wzajemne konflikty i że mogliśmy liczyć na wzajemną pomoc w najtrudniejszych momentach historii, a i dzisiaj razem weszliśmy do NATO i Unii Europejskiej. Nadal mamy wiele wspólnych interesów, ważnych i niezbyt łatwych do zrealizowania celów we wspólnej Europie, coraz lepiej układa się współpraca gospodarcza, której wolumen przekroczył 6 mld EUR, sprawnie współpracujemy w ramach Wyszehradu, który razem inicjowaliśmy. To wszystko chyba jednak wartość sama w sobie, zwłaszcza, że mówimy o przyjaźni nawet nie dwojga ludzi, o której zapewne myśleli filozofowie, a dwóch tak bogatych tradycją i historią narodów. I tego się trzymajmy!

I jeszcze jedno. Taka „wartość sama w sobie" bardzo jednak zobowiązuje. Uczmy się nadal siebie, poznawajmy się bliżej, przekazujmy te wartości młodym ludziom i inspirujmy ich naszym fenomenem. Dostosowujmy trochę naszą przyjaźń do nowych czasów, wykorzystujmy ją w budowie wspólnej europejskiej przyszłości i nie nadużywajmy w małych, doraźnych interesach, umacniajmy ją pozytywnie wspólną, skuteczną realizacją naszych interesów, wspólnymi projektami i inicjatywami bilateralnymi, regionalnymi i europejskimi, nie szukaniem wspólnego wroga, bo choć to jakoby łączy wyjątkowo, to jednak na krótko. Myślmy o naszej wyjątkowej przyjaźni z czułością i działajmy pozytywnie na jej rzecz. I tego właśnie sobie i Wszystkim Państwu życzę w tym wyjątkowym miesiącu.

Z pozdrowieniami,
Roman Kowalski
Ambasador RP na Węgrzech

Święta Polsko-Węgierskiej Przyjaźni

To jedyne w swoim rodzaju i ważne dla nas, osiadłych nad Dunajem Polaków święto zostało zapoczątkowane uroczystością, która odbyła się 24 marca 2006 roku. W tym dniu w Győr nastąpiło odsłonięcie Pomnika Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, jak również spotkanie przedstawicieli polskich i węgierskich miast partnerskich. W uroczystości wzięli udział prezydent Polski, Lech Kaczyński i prezydent Węgier, László Sólyom. Podpisany został wówczas dokument zwany „Deklaracją z Győr ", w wyniku której powstała bezprzykładna w Europie inicjatywa, ustanawiająca przez Parlament Republiki Węgierskiej „z uwagi na wspólną wielowiekową historię i przyjaźń obu narodów oraz współpracę na wielu platformach" dzień 23 marca Dniem Przyjaźni Węgiersko-Polskiej (zgodnie z decyzją z dnia 14 III nr 17/2007). Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, opierając się na tych samych przesłankach, w porozumieniu z uchwałą ustanowioną przez Parlament Republiki Węgierskiej, decyzją z dnia 16 marca 2007 roku ogłosił dzień 23 marca Dniem Przyjaźni Polsko-Węgierskiej.

Dzięki decyzji obu narodów Dzień Przyjaźni stwarza możliwość wspólnego corocznego świętowania, a jego centralne obchody na przemian w jednym roku obchodzone są w Polsce, a w następnym na Węgrzech, pogłębiając i umacniając tym przyjaźń naszych krajów, umożliwiając spotkania przedstawicieli miast partnerskich.

W 2007 roku Przemyśl podjął się zorganizowania pierwszych obchodów Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, w 2008 roku świętowano w Debreczynie, zaś 2009 roku znów strona polska była gospodarzem uroczystości, które odbyły się w Krośnie. Gospodarzem uroczystości w 2010 roku była III dzielnica Budapesztu Óbuda, a w 2011 roku centralne uroczystości miały miejsce w Poznaniu.

Dzień Przyjaźni Polsko - Węgierskiej
Lengyel - Magyar Barátság Napja
Województwo Csongradzkie
Csongrád megye
2012

W bieżącym roku ta tradycyjna już uroczystość organizowana jest na Węgrzech w woj. csongradzkim, przede wszystkim w Szegedzie i Ópusztaszer, gdzie 23 marca o godz. 11.00, w Parku Pamięci Narodowej przy pomniku Árpáda, z przewidywanym udziałem najwyższych władz państwowych Polski i Węgier, rozpocznie się oficjalna część obchodów. Przygotowywanych jest wiele interesujących imprez towarzyszących, m.in. spotkanie Noblistów i młodzieży akademickiej, prezentacja polskiej kultury i sztuki tydzień polskiego filmu, koncerty zespołów młodzieżowych, polsko-węgierskie domy tańca, pokazy polskiej gastronomii i walorów turystycznych Polski.

(inf. własna GP)

Ópusztaszer i kraina Lendzian

Ostatnią bitwę w czasie zajmowania Niecki Karpackiej w roku 896 wojownicy wodza Árpáda toczyli nieopodal Titelu, w okolicy łączenia się dwóch wielkich rzek, Dunaju i Cisy. Zdruzgotali oni połączone wojska grecko-bułgarskie księcia Salana. XIII-wieczny kronikarz króla Béli IV, skrywający się pod pseudonimem Anonymus, w swoim dziele „Gesta Hungarorum", traktującym o genezie Węgrów i ich historii, pisze o następujących wydarzeniach takimi słowy:

„Po zwycięstwie wódz Árpád oraz jego wojownicy podążali do tych moczarów, które nazywają się Körtvélytó i tam zostali przy lesie Gyümölcsény przez trzydzieści cztery dni. W tymże miejscu wódz i szlachta oporządkowali wszelakie prawa obyczajowe kraju, wymogi wszystkie i sposoby, jak mają służyć wszyscy wodzowi oraz jego przednim ludziom, ustalili też jakie mają być kary za jakiekolwiek przewinienia. Jednakowoż wódz w tamtym miejscu podzielił między głowami witezich rodów poszczególne połacie kraju, oddając im te dzielnice wraz ze wszystkimi mieszkańcami. Miejsce, gdzie to czyniono, Węgrzy nazwali w swoim języku Szeri[1], gdyż tam uporządkowano sprawy całego kraju. Przy czym wódz tamte okolice dał Ondowi, ojcu Ete od Cisy do trzęsawisk Botvy i od wody Körtvélytó do piasków Alpára. Za jakiś czas syn Onda Ete zebrawszy sporo Słoweńców[2], między zamkiem Alpára a brodem przy Bőd zbudował bardzo umocnioną fortecę z bali i ziemi ciemnej, którą Słoweńcy po swojemu nazwali Csongrád, czyli czarny zamek."

Jak wynika z przekazu kronikarza, najpierwsze zgromadzenie narodowe, które uchwaliło decyzje odnoszące się do całości kraju, miało miejsce właśnie tam, gdzie powstała miejscowość dziś nazywana Ópusztaszer. Jest to nazwa „mówiąca", w etymologicznym tłumaczeniu brzmi: „Stare miejsce w puszty, gdzie zrobiono porządek". W dawnych archiwach po raz pierwszy występuje w 1200 roku pod nazwą Scerii, później jako Zerr czy Zeer. Anonymus podaje też cenną informację, według której jeden z siedmiu wodzów szczepowych Ond oraz jego syn Ete właśnie tutaj się osiedlili. Potomkami ich jest ród Bor-Kalán, dzięki któremu już na początku XI wieku zbudowano tu monastyr bernardynów oraz kościół.

W związku ze zbliżającymi się obchodami millennium zajęcia ojczyzny w 896 roku Benedek Göndöcs, opat tutularny z Pusztaszer zwrócił się do wówczas najbardziej renomowanego archeologa kraju – benedyktyna Flóris Rómer, by przystąpił do prac odkrywkowych wśród wtedy jeszcze siedmiometrowej wysokości murów monastyru. Wyniki badań były opublikowane już rok później. Niestety, na prace konserwatorskie zabrakło pieniędzy. W latach stalinizmu umyślnie zniszczono resztę. Następnie do prac wykopaliskowych przystąpiono dopiero między 1970-1976 rokiem. Odkryto podstawy kościoła monastyru, udało się ustalić poszczególne etapy rozbudowy świątyni. Pierwszy gmach był jednonawowy, pod koniec XI wieku bryłę rozszerzono podwójnie, a za czasów biskupa Kalána, pochodzącego z pierwotnie tu osiedlonego rodu, powstała tutaj trójnawowa bazylika, zdobiona wspaniałymi freskami i marmurową posadzką. Po zniszczeniach mongolskich w pierwszej połowie XIII wieku monastyr odbudowano, mury wzmocniono, a zespół budynków otoczono fosą.

Jako że Szer leżał przy głównym szlaku królewskim prowadzącym z Bałkanów przez Szeged do Budy, w 1318 roku zatrzymał się tu król Karol Robert z Andegawenów. Szer prawdopodobnie szczycił się rozwiniętą gospodarką, o czym świadczy fakt, że w XV wieku gmina uzyskała prawa miejskie. Pierwszy najazd turecki w 1526 roku miejscowość jeszcze jakoś przeżyła, natomiast wojna 15-letnia przypieczętowała jej los. Ludność pouciekała, a Turcy obsadzili monastyr wojskiem. Na początku XIX wieku autor wielkiego dramatu narodowego „Bánk bán", József Katona jeszcze mógł

Pomnik wodza Árpáda

Spotkanie łuczników starowęgierskich

[1] Starowęgierski „szer"- tyle co sposobność. „Szerét ejteni valaminek"- znaleść sposób na coś, czyli uporządkować.

[2] Anonymus nazywa Słoweńcami południowych Słowian.

oglądać zbudowaną w romańskim stylu wieżę kościelną zrujnowanego monastyru, „ale, gdyż grasujący po puszcie rabusie i złoczyńcy zagnieździli się w niej i miejsce to pozwoliło im by obserwowali tę nizinę sięgając wzrokiem daleko, jak gdyby z wielkiej góry, z myślą o pilnowaniu porządku, wieżę ową zwalono".

Po wypędzeniu Turków słabo zaludniona wioska występowała już jako Sövényháza – nazwę prawdopodobnie otrzymała ze sposobu budowania tutejszych domostw, powstałych ze splecionej wikliny i gliny. Do 1803 roku okolice należały do Izby Królewskiej, wtedy hrabina Leopoldina Zichy, wdowa po księciu Károlyu Jánosu Pallavicine, nabyła dobra Mindszent-Algyő i na wielką skalę rozruszała produkcję tytoniu. W latach 1930, na rozrzuconych po puszcie setkach małych folwarków jako najemcy gospodarowało ponad półtora tysiąca ludzi. Liczba mieszkańców Sövényháza razem z sąsiednim Baksem i Dóczem wynosiła wtedy prawie siedem tysięcy, ale nie było jeszcze żadnego wyraźnego centrum gminy. Takowe powstawało dopiero po 1945 roku, mieszkańcy okolicznych folwarków zaczęli masowo ściągać do Sövényháza dopiero od połowy lat 1970.

Jeszcze w związku z obchodami milenium zajęcia ojczyzny w 1896 roku wzniesiono tu pomnik wodza Árpáda – zadanie wykonali architekt Gyula Berczik i rzeźbiarz Ede Kallós. Rok później uroczyście odprawianą mszą świętą obchodzono w tym miejscu pamięć założyciela kraju Madziarów. W 1902 roku powstało w Szegedzie Towarzystwo im. Árpáda w Ópusztaszer, instytucja została powołana do organizowania obchodów. Towarzystwo zamierzało zbudować tu monumentalną katedrę ku czci wodza, jednak z powodu braku regularnych wsparć inicjatywę zaniechano. Nawet z okazji tysiącletniej rocznicy śmierci Árpáda w 1907 roku nie starczyło na więcej, niż tylko na nieznaczną kontynuację prac archeologicznych. Uroczystym obchodom na parę lat kres położył wybuch I wojny światowej, dopiero po 1920 roku reakcje na niesprawiedliwy traktat pokojowy w Trianon przyczyniały się do wznowienia kultu Árpáda. W okresie międzywojennym pojawiły się plany na założenie parku pamięci narodowej, lecz one także nie doczekały się realizacji. W 1936 roku Towarzystwo wynajęło od Pallavicinich ok. 15 hektarów wokół pomnika i teren ten otrzymał nazwę Gaj Narodowy Árpáda, gdzie planowano rozbudować centralne miejsce pamięci narodowej.

Tym razem w realizacji planów przeszkodził wybuch II wojny światowej. W 1945 roku zamiast obchodów rocznicy pierwszego zgromadzenia narodowego nowa władza urządziła tu uroczystość z okazji rozdania

ziemi chłopom, ostatnie święto zaś miało miejsce rok później. W okresie węgierskiego stalinizmu, w erze Rakosiego mowy nie mogło być o uroczystościach związanych z dumą narodową, teren tutejszy więc zapuszczono, wszystko obrosło chwastami. Także w tych latach resztki zachowanych murów monastyru zrównały się z ziemią skutkiem ćwiczeń stacjonujących w pobliżu artyleryjskich sowieckich jednostek. Po stłumieniu rewolucji i walk wolnościowych w 1956 roku, w myśl idei komunistycznych „przeszłości ślad dłoń nasza zmiata", pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Związku Młodzieży Komunistycznej (KISZ) Zoltán Komócsin zaczął organizować w Sövényháza tzw. „chłopsko-robotnicze zloty". (Warto zaznaczyć, że potocznie mieszkańcy tej ziemi nazwali te spędy „czerwonymi odpustami").

Nareszcie nowy rozdział w dziejach parku nastąpił w 1970 roku. Wtedy to Ferencowi Erdeiemu z Węgierskiej Akademii Nauk udało się przeforsować, by zaczęto ponownie traktować to miejsce jako historyczny pomnik pamięci narodowej. Utworzono Komisję Pamięci Pusztaszer i przystąpiono do prac wykopaliskowych i rekonstrukcyjnych. W 1974 roku miejscowość otrzymała też z powrotem swoją pierwotną nazwę Ópusztaszer. Niezapomniany Gyula László, sławny archeolog zajmujący się starożytnymi Węgrami, zaproponował wtedy wydobycie z magazynów, powstałej na obchody milenijne w 1896 roku, skazanej na zapomnienie Panoramy Fesztyego – monumentalnego malowidła, przestawiającego wejście Madziarów do Niecki Karpackiej. Zaczęły się prace odnowienia dzieła i budowa rotundy. Jednak roboty te w 1979 roku przerwano i wznowiono dopiero po zmianie ustroju, w 1991 roku, gdy grupa polskich restauratorów dzieł sztuki wygrała ogłoszony na renowację płócien konkurs. Od 1995 roku Panorama Fesztyego przyciąga tłumy zwiedzających jako główna atrakcja Parku Pamięci Narodowej. Do dziś park w Ópusztaszer wzbogacił się wieloma wystawami wewnętrznymi i plenerowymi, pomnikami historii oraz regularnie organizowanymi tu cyklicznymi imprezami związanymi z pielęgnowaniem tradycji narodowych.

W tym roku, w ramach obchodów Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, prezydenci naszych krajów, Bronisław Komorowski i Pál Schmitt także i tutaj będą mieli okazję przypominać nasze kontakty sprzed 1100 lat. A tym, którzy myślą, że przesadzamy i „naginamy" znaczenie dziejowych wydarzeń, by za wszelką cenę udowodnić, że już wtedy były między nami nawiązane nici przyjaźni, niech wolno mi będzie zacytować znowu „Mistrza P.", czyli kronikarza króla Béli IV. Zaznacza on, że zanim doszło do „uporządkowania rzeczy kraju" w Ópusztaszer, wśród pierwszych posunięć Árpáda było zabezpieczenie zajętej ziemi od północy i północnego wschodu. Anonymus opisuje to w następujący sposób:

„Gdy tylko zapuścili korzenie, to słuchając rad mieszkańców tamtejszej ziemi, wysłali na czele z synem Böngéra Borsem silną drużynę hen, w kierunku krainy Lendzian, by na własne oczy zobaczyć granice kraju i pas ten obsadzić strażnicami aż do gór Tatr oraz wznieść fortecę w ku temu właściwym miejscu. Bors zaś wyruszył i jakowoż towarzyszyło mu szczęście, zebrawszy liczną gromadę chłopstwa zbudował zamek przy wodzie Boldvy, warownię tę lud nazwał Borsodem[3], gdyż była niewielka. Bors jeszcze pozbierał na zakładników synów tamtejszych mieszkańców, ustawił pas graniczny w górach Tatr, po czym wrócił do wodza Árpáda. Jego powrót wywołał wielką radość na dworze. Wódz zaś za zacne czyny kreował go żupanem w tamtym zamku i odtąd miał odpowiadać za tę część kraju".

Znamienne wydaje się, że kronikarz wspomina o krainie Lendzian, czyli Polaków, która leży na północy, ale między tą krainą a zakątkiem, gdzie Węgrzy już „zapuścili korzenie", czyli zajęli tereny na dobre, znajdowała się ziemia niepewna, którą należało zabezpieczyć. Bynajmniej nie przed Polakami, lecz przeciwko ewentualnemu zagrożeniu z kierunku Ladomerii i Halicza. Jak w następnych dziesięcioleciach się okazuje, prewencyjne wojny są prowadzone w każdym kierunku, z wyjątkiem północnego pasa granicznego. Co więcej, osady strażnicze Węgrów żyją w największym pokoju z sąsiednimi wioskami Wiślan i Lendzian, co potwierdzają badania archeologiczne, na przykład w Przemyślu, czyli w pobliżu Przełęczy Dukielskiej.

Panoramę Fesztyego w Ópusztaszer odnowili Polacy, nieprawdaż? I jak tu wierzyć w przypadki!?

Attila Szalai

[3] Bors - pieprz, zlarno pieprzu.

fot.: archiwum

DELIKATNY PACJENT Z ÓPUSZTASZER

Słowo „panorama" zostało stworzone z dwóch greckich słów: *pan* – cały, wszystko i *horama* – widok, ale ją samą wynalazł irlandzki malarz Robert Barker w 1787 roku, nazwał ją po francusku „la nature coup d'oeil", czyli „rzut okiem na naturę". Pierwszymi panoramami na świecie autorstwa Roberta Barkera były: (na planie półokręgu) „Widok Edynburga" i (pełny już) „Widok Londynu". Do naszych czasów dochowało się około 20 panoram, z których najbardziej znane to „Bitwa pod Borodino" (Moskwa), „Bitwa pod Waterloo" (Belgia) i „Wkroczenie Węgrów" (Ópusztaszer koło Szegedu, Węgry).

Powstały 118 lat temu słynny obraz panorama autorstwa Árpáda Feszty'ego przedstawia wodza Madziarów Árpáda, który prowadzi swój lud na żyzne tereny Wielkiej Niziny. Obraz ten zwykło się nazywać „Wkroczeniem Węgrów", co miało miejsce w 896 roku. Dziś monumentalne dzieło Árpáda Fesztyego i 12 innych malarzy można oglądać w znajdującym się w sercu Węgier Ópusztaszer. Jest ono typowym produktem z końca XIX wieku, kiedy wiele takich malowideł powstawało.

Feszty, który panoramami zafascynował się zobaczywszy „Bitwę napoleońską" Neuville'a, początkowo chciał malować potop, ale pod wpływem namów teścia Móra Jókaia zdecydował się na wkroczenie Węgrów do Kotliny Karpackiej.

Pracę nad płótnem zakończył wiosną 1894 roku. Stało się ono jedną z atrakcji wystawy milenijnej w Budapeszcie. 13 maja 1894 w Rotundzie, znajdującej się w miejscu obecnego budynku Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie, „panoramę" po raz pierwszy poświęcono. W roku 1897 malowidło pojechało do Londynu na wystawę światową, ale po powrocie cieszyło się coraz mniejszym zainteresowaniem. W 1909 roku ponownie ją poświęcono, ale szkody, jakich doznała w ostatniej fazie wojny w 1945 roku spowodowały, że nie nadawała się już do wystawiania. Ocalała połowa dzieła trafiła na długie lata do piwnicznych magazynów i dopiero w 1970 roku powstała Narodowa Komisja Historyczna ds. Zabytków zdecydowała o odnowie panoramy i budowie przeznaczonego dla niej pawilonu w Ópusztaszer. Prace jednak wkrótce zarzucono. Podjęto je dopiero w latach dziewięćdziesiątych, a w 1990 roku konkurs na restaurację malowidła wygrała polska ekipa konserwatorska z Wrocławia. 14 czerwca 1995 roku odnowione dzieło poświęcono i udostępniono zwiedzającym. Dla wzmocnienia efektu wizualnego przestrzeń przed malowidłem zaaranżowano tak, by była kontynuacją namalowanych scen, na przykład jeśli na płótnie znajduje się zabity woj to podobny leży wśród gruzów zainicjowanych przed płótnem. Chodząc wokół pawilonu przed kolejnymi scenami słyszy się odgłosy nawiązujące do tego, co one przedstawiają.

Ryszard Wójtowicz, restaurator z Muzeum Architektury w Wrocławiu, w 2010 roku w pracy pt. „Trzy panoramy" między innymi napisał:

„Panoramy, owe wielkie płótna ukazujące krajobrazy i miasta, bądź też znaczące wydarzenia historyczne były wielką atrakcją artystyczną oraz historyczną począwszy od końca XVIII i pozostają nią do dziś. Trzy z nich: Racławicka we Wrocławiu, panorama Feszty w Ópusztaszer na Węgrzech oraz bitwy pod Gettysburgiem w Stanach Zjednoczonych powstały w 4 ćwierci XIX wieku. Łączy je nie tylko czas powstania, ale również porównywalne wymiary - są to płótna długości około 115 metrów i wysokie na ponad 14. Wrocławski zespół konserwatorów, prowadząc w latach 1981-1985 szeroko zakrojone prace nad „Panoramą Racławicką", która po wielu perypetiach ze Lwowa przybyła ostatecznie do Wrocławia, wypracował znakomite metody konserwacji i rekonstrukcji tak wielkich obrazów. To doświadczenie udało się wykorzystać w latach 1991-1995 przy pracach nad panoramą węgierską, a następnie zaowocowało zaproszeniem do Gettysburga, gdzie w latach 2006-2008 przywracano świetność kolejnemu zabytkowi.

Konserwacja panoram to długi i żmudny proces, który musi uwzględniać złożone zabiegi techniczne i konserwatorskie oraz każdorazowo wiąże się z wypracowaniem sposobu właściwego udostępnienia gigantycznego obrazu zwiedzającym. Prace tego typu wymagają również nowego spojrzenia na problem konserwacji i rekonstrukcji dzieł sztuki, zwłaszcza, że wiekowy zabytek jest „delikatnym pacjentem" potrzebującym stałej opieki".

Fragment panoramy Árpáda Feszty'ego widoczny jest na okładce naszego pisma, a całość dzieła będzie okazja zobaczyć w czasie tegorocznych obchodów Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej.

Bożena Bogdańska-Szadai

fot.: archiwum

Galicjanin z Szegedu

Doktor Karol Biernacki pochodzi z terenów dawnej Galicji, a od prawie 30 lat mieszka na Węgrzech. Jest osobą popularną wśród Polonii, ale również, a może przede wszystkim, wśród Węgrów. Mówi o sobie, że ma powołanie do spraw polsko-węgierskich. Wygląda nieźle, świetnie daje sobie radę...

– Czy Twój wygląd odzwierciedla Twoją osobowość, sposób w jaki chciałbyś być odbierany przez ludzi?

– Jestem normalnym, przeciętnym facetem o słowiańskiej twarzy i tyle… (*chwilka zastanowienia, a potem niewinny, ale zagadkowy uśmiech…*)

– Pochodzisz z Galicji. Na ile miało to znaczenie w Twojej węgierskiej przygodzie?

– Ładnie powiedziane: przygoda. A może delegacja, która trwa całe życie? Raczej to drugie. Delegacja z przygodami. Kiedy jestem w Polsce (a bywam tam często) podczas rozmów padają stwierdzenia, że ...u Was to, u Was tamto... Zawsze poprawiam moich rozmówców: nie u Nas, tylko u Nich (ale to „u Nich" mówię zawsze ciepło i z sympatią). Ja jestem stąd, zawsze będę stąd, z Polski. Są pewne pojęcia, dla mnie absolutnie nie do zastąpienia, nieomijalne, których esencjonalności nie wolno „rozpuszczać, rozrzedzać". Jednym z nich jest właśnie Polska, Ojczyzna, moje korzenie. I mówię to śmiertelnie poważnie. Może to nieładnie, ale całkowicie przekreślam ludzi, którzy, powiedzmy, wyjechali z kraju na jakiś okres, a po powrocie mówią z akcentem, przekręcają słowa. Źle się czuję w ich towarzystwie, denerwują mnie. Czy wiesz, że do swojej teściowej nigdy nie powiedziałem „mamo", a do teścia (niestety już nie żyje od kilku lat) „tato", chociaż zawsze traktowali mnie jak syna, zawsze byli wobec mnie w porządku. Czułbym się jak zdrajca wobec własnych rodziców, a przecież w jakimś sensie rodzice mojej żony zastępowali mi moich własnych. Pewne słowa przywiązane są tylko i wyłącznie do konkretnych osób i pojęć. Przywiązuję dużą wagę do słów. A Galicja? No pewnie, że wywarła wpływ na mojej decyzji odnośnie tego, co dalej zrobić ze swoim życiem. Mój dziadek (i sąsiad) służyli w armii austro-węgierskiej, dużo mi opowiadali o I wojnie światowej, ich perypetiach. Słowo Węgry nadzwyczaj często przewijało się podczas ich opowieści. W Jaśle i okolicach, jak i w całej Galicji jest mnóstwo pamiątek związanych z Węgrami. Mój tatuś w 1956 roku pracował w kopalni Nowa Ruda, był górnikiem. To od niego dowiedziałem się o postawie zwykłych ludzi, Polek i Polaków spieszących z pomocą Węgrom beznadziejnie pogrążonym w snach o wolności, a od sąsiada dowiedziałem się, kim był Pál Teleki i jak obchodzono się z polskimi żołnierzami w 1939 roku na Węgrzech. Kiedy przypadkiem w moje ręce trafił tomik poezji Endre Adyego (oczywiście po polsku), już wiedziałem, że prędzej czy później, ale jednak będę miał coś wspólnego z tym krajem. Z kolei na pewno nie przypuszczałem, że ożenię się z Węgierką. Pomimo tych bodźców moje myśli ciągle krążyły jednak wokół studiów historycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ale to już zupełnie inny temat.

– 1 września 1983 roku wysiadłeś na peszteńskim Dworcu Keleti i co dalej?

– Wysiedliśmy o świcie, przyjechaliśmy całą grupą. To była moja pierwsza podróż za granicę, niesamowite wrażenie. Zwłaszcza wypełnianie jakichś bzdurnych deklaracji celnych na granicy, grzebanie w bagażach. Pamiętam, że do deklaracji wpisałem aparat fotograficzny produkcji radzieckiej marki „Cmena" oraz zegarek, również produkcji radzieckiej marki „Wostok". Same przeżycia. Kiedy wieziono nas do Instytutu na Budaörsi było jeszcze ciemno, miasto wyglądało ślicznie, Most Łańcuchowy, Parlament. Takie rzeczy się pamięta. W Instytucie dosyć szybko się zaaklimatyzowaliśmy, błyskawicznie chłonęliśmy język węgierski (ale tak naprawdę prawdziwa jego nauka zaczęła się w Szegedzie, kiedy znaleźliśmy się w czysto węgierskim akademiku, między „prawdziwymi" Węgrami). Ja miałem szczęście, bo od samego początku przyjaźniłem się z Marcinem Sokołowskim i jego żoną Beatą – Marcin płynnie mówił po węgiersku, bardzo nam pomagał, tworzyliśmy taką małą rodzinę, wspieraliśmy się nawzajem. Ta przyjaźń – karmiona również wspomnieniami – pozostała do dziś.

Nauka w Budapeszcie trwała do czerwca 1984 roku. Później egzaminy i rozpoczęcie studiów w Szegedzie. Czas spędzony w Budapeszcie był wspaniałym okresem w moim życiu, pełnym doświadczeń i prób, ale nie zamieniłbym go nigdy na późniejsze lata spędzone w Szegedzie.

– Zatrzymajmy się na roku 1989: ukończyłeś studia w Szegedzie, właściwie mógłbyś wracać do Polski, nie zrobiłeś tego. Dlaczego?

– Rzeczywiście, teoretycznie mogłem wrócić do Polski, ale wtedy już nie byłem sam. 2 lata wcześniej ożeniłem się, a więc zostałem podwójnie wolny. Moja żona, Ewa Csilics, jest jedynaczką i sprawa była prosta: kiedy poprosiłem o Jej rękę potencjalni teściowie zapytali, gdzie wyobrażamy sobie dalsze życie. Odpowiedź była mętna, niezobowiązująca. Ale przed samym ślubem dałem im jednak słowo, że żony nie wywiozę do Polski i zostaniemy na Węgrzech, nie zostawimy ich samych. Słowo się rzekło i tyle. Musieliśmy się jakoś urządzić, znaleźć pracę. Ewie poszło łatwo, jest germanistką, ze mną było gorzej. Chodziłem od instytucji do instytucji i nic. Ostatnim miejscem, do którego poszedłem, tak po prostu z ulicy, było Archiwum Wojewódzkie. W sekretariacie pani surowo popatrzyła na mnie i stwierdziła, że „towarzysz dyrektor jest teraz zajęty", ale za jakieś 10 minut mnie przyjmie. Zaczekałem i nagle znalazłem się przed 2 metrowym, potężnym facetem i mnie ścięło. Pomyślałem sobie, gdzie ja trafiłem? – lipiec '89 roku a tu jeszcze są „towarzysze", wszyscy tacy poważni. Z dyrektorem bardzo szybko znalazłem wspólny język, był jeden wolny etat i przyjął mnie na okres próbny, na trzy miesiące. Zostałem więc takim „wynieś, przynieś, pozamiataj", ale z własnym biurkiem w gabinecie z jednym z najwybitniejszych mediewistów na Węgrzech. Miałem i dalej mam wspaniałych kolegów i koleżanki – to doskonali fachowcy. Przez trzy miesiące uczyłem się terminologii, poznawałem miejsce swojej pracy. To zupełnie inny świat, wymaga cierpliwości, dużej wiedzy i pokory. Po upływie okresu próbnego dyrektor wezwał mnie do siebie, zaproponował przejście na „ty" i przyjął mnie na stałe. Może było odwrotnie: najpierw mnie przyjął i później przeszliśmy na „ty", nie pamiętam. Jedno jest pewne: dyrektor emeritus László Blazovich jest człowiekiem, któremu bardzo dużo zawdzięczam.

– Jesteś jednym z niewielu Polaków, którzy zrobili karierę na Węgrzech, pełnisz odpowiedzialną funkcję dyrektora Archiwum Wojewódzkiego. Zapewne wielu z naszych Czytelników zadaje sobie pytanie „jak to zrobiłeś"?

– Mam prawie 48 lat, dwadzieścia parę lat pracy zawodowej za sobą i drugie tyle pracy społecznej, walk z wiatrakami, ale też mnóstwo sukcesów. Wszystko to zostało przekute na obraz o Polsce i to, co z Polską się łączy. Bardzo się udzielałem, zmieniał się obraz naszego kraju w oczach Węgrów, stawałem się rozpoznawalny (Szeged nie jest aż taki wielki). Proszę mnie źle nie zrozumieć: nic co robiłem czy zrobiłem nie działo się w jakiejś aurze partykularnego interesu. Nigdy nie dbałem o własne korzyści, jakoś nie nadaję się do tego. Jeśli prosiłem, to zawsze dla kogoś innego albo dla jakiejś sprawy. I tak już zostanie. Rzeczywiście, jeśli karierą można nazwać funkcję dyrektora takiej instytucji, jak Archiwum Wojewódzkie woj. Csongrád, które ma jeszcze 4 filie (w Hódmezővásárhely, Szentes, Csongrád i Makó) i jest jednym z największych Archiwów na Węgrzech, ze świetnymi tradycjami i niebyle jakim dorobkiem naukowym, to zgadzam się, bez fałszywej skromności. Jestem z tego dumny. Ale proszę sobie wyobrazić jaki to jest ciężar i odpowiedzialność. Nie tylko odnośnie ludzi, za których odpowiadam, co w obecnych czasach nie jest takie proste, myślę o zwyczajnych sprawach egzystencjonalnych, o kryzysie, nie tylko gospodarczym, ale i społecznym. Nie da się ukryć: jest teraz życie na gorąco. Mój wielki poprzednik na tym stanowisku, podczas ostatniej rozmowy powiedział mi, że on podczas 28 lat swojego dyrektorowania nie żył tak intensywnie, jak ja podczas ostatnich 3 lat. Poradzę sobie.

Jeśli czytelnicy zapytają, „jak ja to zrobiłem?" Zawsze byłem sobą, wykonywałem swoją robotę ze świadomością, że jestem „obcy" i trochę inaczej na mnie patrzą. Jakkolwiek byśmy się nie kochali, zawsze będę obcy, bo tak już jest i nie ma w tym nic złego. Przez lata poznałem bardzo wielu ludzi z wszystkich opcji politycznych i wszyscy wiedzą, że Karol jest konserwatystą, trochę staroświecki i kocha ludzi, bez wyjątku, i bez względu na ich przekonania polityczne. I ma powołanie, skoro już zapuścił korzenie między Węgrami, a mianowicie: „obsługiwać" tak wdzięczny temat, jakim jest „Polska i

Węgry". I wszyscy wiedzą, że jestem Polakiem i nigdy nie chciałem się na siłę asymilować, być bardziej węgierski, niż Węgrzy. Niestety, spotkałem mnóstwo naszych rodaków, którzy trochę się w tym zatracili, po wielu latach pobytu tutaj dalej mówią fatalnie po węgiersku zarazem kalecząc język polski. Nie każdy ma talent do języków obcych, ale zapomnieć własny, to już sięga ponad granicę mojej tolerancji. Może dlatego wszystkie drzwi, przynajmniej na południu Węgier, są dla mnie otwarte?

– Zaangażowałeś się w życie polonijne.

– Tak, trochę zintensyfikowałem życie polonijne w Szegedzie. Robiliśmy mnóstwo imprez, ale nie tylko dla siebie. Wyszliśmy do społeczności miasta, jako że w województwie tylko w Szegedzie działa Samorząd (zawsze używaliśmy nazwy: Samorząd Polski w Szeged, żadnych tam mniejszości czy większości – Polski i już). Nie ma gminy, gdzie nie dotarliśmy z jakąś wystawą czy innym wydarzeniem. Jeśli nie udało się to w ramach samorządu, robiłem to w ramach Archiwum, bo mamy często sesje wyjazdowe na prowincji. Zawsze wkręciłem jakiś polski temat do programu i było dobrze, ludzie na to przychodzili i mogli się dowiedzieć ciekawych rzeczy o Polsce i Polakach. W Szegedzie jest nas mało, ale jesteśmy prężni, lubiani i doceniani. Tu nie ma „polskiego bagienka" i nie będzie. Chyba jako jedyna nacja mniejszościowa (spośród 11 tu istniejących) staramy się zawsze składać wieńce podczas uroczystości ważnych dla Węgrów, w imieniu Społeczności Polskiej w Szeged. Otrzymujemy niesamowite brawa, bo ludzie wiedzą, że robimy to z sympatii i szacunku dla ich narodu i państwa.

– W 2011 roku kolejnego wydania doczekała się „Polsko-Węgierska Czytanka Historyczna", która powstała pod Twoją redakcją. Jak doszło do realizacji tego projektu, wiem, że na początku była wystawa...

– Pod koniec ubiegłego stulecia miałem przyjemność i zaszczyt poznać pana Zoltána Bátky, wspaniałego człowieka, byłego oficera Horthy'ego, żołnierza Ludoviki. Zoltán od lat zbierał materiały o Polsce i Polakach, benedyktyńską pracą złożył album poświęcony wspólnym dziejom od zarania aż po wiek XX. Jakiś rok przed śmiercią przekazał mi album i poprosił, abym coś z nim zrobił. Więc zrobiłem, a raczej powiedziałem panu Zoltánowi, że zrobimy z tego książkę – czytankę, dwujęzyczną – dopiszemy nowe rozdziały, poprawimy teksty itd. Zacząłem pracę i równolegle pogoń za środkami na edycję. Spieszyłem się, bo Zoli bátyám czuł się coraz gorzej, powoli umierał. Drukarnia specjalnie zrobiła kilkanaście egzemplarzy, które zawiozłem choremu przyjacielowi. Mógł się nimi jeszcze nacieszyć. Ta czytanka była i jest strzałem w dziesiątkę: żadnych górnolotnych, skomplikowanych teorii naukowych, ciężkiego języka, a wręcz przeciwnie – tekst łatwo przyswajalny, z esencją wiedzy o danym temacie, ale zawierający też legendy, ciekawostki, wszystko to, co może przykuć uwagę zarówno dzieci, młodzieży, jak i ludzi starszych. Czy można przystępniej propagować wiedzę o Polsce, jeśli nie w taki choćby sposób? Zapewne można, ale my w Szegedzie idziemy swoją drogą i mamy wielu towarzyszy – coraz więcej Węgrów zarażonych bakcylem polskości. Powstała również wystawa na bazie książki. Jej kopie od kilku lat krążą i po Polsce, i po Węgrzech. Jedna z nich 14 marca prezentowana będzie w Warszawie.

dr Karol Biernacki z Małżonką

– Bardzo znaczącą rolę w Twoim życiu odgrywał tragicznie zmarły w katastrofie smoleńskiej śp. Andrzej Przewoźnik, b. sekretarz ROPWiM i wybitny Przyjaciel Węgier.

– Ze śp. Andrzejem Przewoźnikiem po raz pierwszy spotkałem się kilka lat temu. Jeśli dobrze pamiętam Marcin Sokołowski polecił mu mnie jako tłumacza na czas jakiejś konferencji w Budapeszcie. I tak się zaczęło. Właściwie przy okazji każdej swojej wizyty znalazł czas, aby przyjechać do Szegedu. Pasjami zbierał pamiątki z okresu II wojny światowej, oczywiście te związane z uchodźstwem polskim. Sam sporo tego mam, przed przyjazdem pana ministra zawsze coś tam położyłem na stole w swoim gabinecie, ale tak, aby zauważył. No i zawsze zauważał. To była przyjemność widzieć radość na jego twarzy. Wiesz, że na wiosnę 2010 umawialiśmy się, że przed otwarciem wystawy o Katyniu w Akademii Wojskowej (Zrínyi Főiskola) w Budapeszcie (17 maja) przyjedzie do Szegedu, do Archiwum i porozmawiamy o wspólnej książce (już zacząłem tłumaczyć dokumenty na polski i przesyłać mu w kawałkach), oczywiście o Polakach na Węgrzech w czasie wojny. Aby tradycji stało się zadość przygotowałem prawdziwą „relikwię" z 1939 roku, cacko wykonane przez internowanych żołnierzy polskich w Mórahalom (dawniej: Alsóközpont). Już widziałem w myślach minę Andrzeja, kiedy zauważy ten unikat i rozpoczniemy „rozmowy o zmianie właściciela". Przed majem stał się 10 kwietnia, a „relikwia" dalej stoi na półce z książkami obok mojego stołu i czeka… w myślach sto razy podarowałem ją Andrzejowi Przewoźnikowi i wirtualnie widziałem jego radość.

No i Katyń. Przetłumaczenie wystawy bardzo nadwyrężyło moją psychikę. Zwłaszcza te rozdziały mówiące o kobietach i dzieciach zesłanych na „nieludzką ziemię". Moja żona, która była jednym z lektorów, podczas pracy płakała jak bóbr, nie była w stanie sprawdzić i poprawić mojej translacji odnośnie tych rozdziałów. Byłem bardzo wdzięczny Andrzejowi Przewoźnikowi za to, że mi zaufał. Katyń, to taka szczególna sprawa. Ponad wszystko. Podobne uczucie ogarnęło mnie, kiedy wiozłem z Jasła do Szegedu ponad pięciometrowy krzyż z dębu – krzyż katyński poświęcony ofiarom polskim i węgierskim. Czułem się, jak gdybym wiózł trumnę z jakimś bohaterem narodowym, niesamowite uczucie… 17 września 2010 roku krzyż został ustawiony w najpiękniejszym miejscu Szegedu, obok Katedry, dzięki biskupowi László Kiss-Rigó, który bardzo nas, Polaków szanuje. Powiem Ci za co szanowałem najbardziej Andrzeja Przewoźnika: za to, że był PAŃSTWOWCEM. Etalon dla wielu polityków (z całym szacunkiem dla licznych, ale jednak wyjątków), ale patrząc na morale panujące obecnie, przykład niestety nieosiągalny.

– Jak zdefiniowałbyś zjawisko jakim jest przyjaźń polsko-węgierska?

– Przyjaźń to wielkie słowo, tak ważne jak miłość. Przyjaźń – przynajmniej dla mnie – zawsze jest mocno spersonifikowana. Przyjaźń polsko-węgierska? Co to jest? Między narodami czegoś takiego nie ma, jest interes państwa i to się liczy. Nie rzucajmy na prawo i lewo górnolotnych, „mądrych" stwierdzeń o przyjaźni polsko-węgierskiej, bo ciężar gatunkowy tego słowa straci na wadze i zrobi się z tego coś na wzór polsko-radzieckiej, urzędowej przyjaźni. Stan, który panuje, panował między nami i Węgrami, jest jakąś sympatią, trochę taką jak „prawdziwa", nieskażona wyrachowaniem, bezwarunkowa miłość. Nie podejmuję się zdefiniowania tego „zjawiska", to jest zadanie dla socjologów, erudytów i historyków. Zwyczajni ludzie powinni troszczyć się, aby ten stan był świadomy, wzmocniony wiedzą o sobie, a nie kończył się na powiedzeniu „Polak, Węgier ..." odgrzewanym przy wznoszeniu toastów. Wydaje mi się natomiast, że wiem jak możemy się przybliżyć do znalezienia odpowiedzi na te nurtujące nas kwestie: gorąco polecam artykuł Kiss Gy. Csaba „A közös kód" oraz jego książkę „Hol vagy Hazám?".

– Dziękuję za rozmowę i życzę dalszych sukcesów.

– Serdecznie pozdrawiam Drogich Czytelników „Głosu Polonii".

Notowała: **Bożena Bogdańska-Szadai**

fot.: zbiory prywatne

Przyjaźń w trudnych czasach, czyli „Niech nas łączy to, co nas dzieli”

Ostatnie miesiące pokazały, że przyjaźń polsko-węgierska nie jest nam dana raz na zawsze, ale trzeba nad nią stale pracować i pielęgnować ją. Przed polsko-węgierską przyjaźnią stoją dwa poważne zagrożenia, związane bezpośrednio z pogłębiającym się rozdźwiękiem w Europie. Z jednej strony przyjaźni polsko-węgierskiej grozi rozpłynięcie w zglobalizowanym świecie postmodernistycznego chaosu, w którym nie pamięta się o wspólnych korzeniach, tradycjach i wartościach, łączących nasze narody od ponad tysiąca lat, z drugiej strony nachalne przypominanie owych tradycji i wartości (oczywiście traktowanych wybiórczo) wynika z chęci realizowania własnych doraźnych celów politycznych, siłą rzeczy więc polsko-węgierskie braterstwo traktowane jest przedmiotowo. Do czego może prowadzić ta sytuacja? Przyjaźń polsko-węgierska zaniknie w zglobalizowanym europejskim gulaszu kulturowym albo zacznie przypominać pięknego martwego motyla, przekłutego szpilką i umieszczonego w gablocie. Obydwie wizje są nie do przyjęcia, ponieważ oznaczają powolną atrofię niezwykłych relacji między naszymi narodami. Jak uciec z tego zaczarowanego kręgu?

„Téka” w Warszawie

Instytut Teologiczny w Sandomierzu

Przede wszystkim nie ograniczajmy się do spraw politycznych, bo przyjaźń nasza daleko przekracza wąskie ramy partyjniactwa. Nie pozwólmy przywłaszczyć nikomu wspólnej pięknej przeszłości, ponieważ zostaniemy ograbieni z tego, co między nami najcenniejsze. Nie pozwólmy, by tradycja oznaczała skostnienie, składanie wieńców pod pomnikami osób, których czyny zostały już dawno zapomniane. Musimy do niej podchodzić twórczo, nowocześnie, patrząc w przyszłość. Niech przyjaźń polsko-węgierska nie żywi się tylko nostalgią, niech nie pozostaje wyłącznie w sferze ducha. Przyjaźń polsko-węgierska, aby żyć i rozwijać się, musi przyjmować realne kształty i stać za nią muszą konkretne działania. Ale co to znaczy?

Przede wszystkim należy aktywnie uczestniczyć w życiu kulturalnym obu narodów, korzystać z bogatej oferty, którą proponuje na przykład Instytut Polski w Budapeszcie, Stowarzyszenie Kulturalne im. J. Bema na Węgrzech, Węgierski Instytut Kultury w Warszawie czy Centrum Węgierskie w Krakowie, poznawać tradycje poprzez studiowanie historii, uczestnictwo w konferencjach czy czytanie prasy polonijnej. Można kupować tłumaczenia polskiej literatury na Węgrzech i węgierskiej literatury w Polsce, oglądać filmy na festiwalach filmowych (na przykład Polska Wiosna Filmowa na Węgrzech), czytać blogi poświecone polsko-węgierskiej problematyce (na przykład kontrowersyjny i zmuszający do myślenia www.jezwegierski.blox.pl) czy czynnie wspierać działalność różnych organizacji i stowarzyszeń, postulujących zbliżenie między oboma narodami (na przykład Wspólnoty Polsko-Węgierskiej czy Grupy Rekonstrukcji Historycznej Legionu Wysockiego na Węgrzech). Bądźmy na bieżąco – w tym roku warto było odwiedzić chociażby wystawę „Több mint szolidaritás – Więcej niż solidarność” w budapeszteńskim Muzeum Narodowym, razem świętować Dni Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Poznaniu, gdzie na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza była zorganizowana świetna konferencja, sięgnąć po wydaną w grudniu książkę Sándora Máraiego „W podróży” w znakomitym tłumaczeniu Teresy Worowskiej, upiec doskonałe pogacze według przepisu Tadeusza Olszańskiego (książka „Nobel dla papryki”), albo kupić dla węgierskich przyjaciół „Historię literatury polskiej” Czesława Miłosza, która ukazała się na Węgrzech. W Budapeszcie, w siedzibie Stowarzyszenia Kulturalnego im. J. Bema odbyła się konferencja poświęcona polskim i węgierskim świętym, w której uczestniczyli wybitni naukowcy, a w całym kraju węgierscy uczniowie mogli wziąć udział w konkursie plastycznym i literackim, promującym wiedzę o Polsce, polskich legendach, historii i związkach polsko-węgierskich na przestrzeni dziejów.

Bądźmy świadomi! Świadomi tego, że to właśnie od nas zależy dalszy kształt i kondycja polsko-węgierskiej przyjaźni. A Polonia węgierska? Nie zapominajmy, że jesteśmy Polakami, ale uczmy się węgierskiego, rozmawiajmy po polsku z naszymi współmałżonkami, pokazujmy swoim działaniem, że przyjaźń polsko-węgierska to nie tylko pusty frazes. Czy postulaty te brzmią naiwnie?

Powiedzmy za Karlem Čapkiem, który nota bene postulował w okresie międzywojennym pokojowe współżycie mniejszości narodowych, w tym węgierskiej na terenie Czechosłowacji: Niech nas łączy to, co nas dzieli. Przyjaźń polsko-węgierską może umacniać ciekawość świata, otwartość na to, co nie jest na tyle dalekie, by być niezrozumiałym i jednocześnie nie na tyle bliskie, by przestać być fascynującym.

Szabla nie jest już w dzisiejszych czasach przedmiotem codziennego użytku, szklanka, szczególnie zbyt pełna, nie wpływa korzystnie na stan zdrowia, trzeba więc wymyślić nową formułę dla naszej przyjaźni, krzewić ją nowoczesnymi metodami, przystosowanymi do zmieniających się potrzeb, by tradycja nie znaczyła tylko nudy i zaściankowości, a polsko-węgierskiego braterstwo przestało być tylko pustym hasłem, które przypomina się w marcu. Jednocześnie nie pozwólmy zmarnować tej przyjaźni budowanej przez lata, by doraźne korzyści i polityczne rozdźwięki nie przesłoniły wyższych celów. Warto pamiętać, że nikt, żadna frakcja polityczna, żaden człowiek, żadna gazeta czy stowarzyszenie nie ma monopolu na przyjaźń polsko-węgierską. Przyjaźń ta może mieć wiele form i wiele realizacji, ale nie może być traktowana instrumentalnie. Bądźmy otwarci na przyszłość, pamiętajmy o przeszłości, ale przede wszystkim żyjmy dniem dzisiejszym. Dniem Przyjaźni Polsko-Węgierskiej!

Agnieszka Janiec-Nyitrai

fot.: A.Szalai

Wolność i przyjaźń

W Budapeszcie naprzeciwko Domu Terroru stoi wymowny monument, przypominający o czasach żelaznej kurtyny. Grube, żelazne łańcuchy symbolizują skrępowaną wolność, a na boku umieszczony jest cytat z Sándora Petőfiego „Będziemy wolni czy niewolnikami?" To pytanie jest ciągle aktualne w wymiarze indywidualnym, narodowym i międzynarodowym.

Dom Terroru

Świętując – hic et nunc (tu i teraz) – kolejny Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, warto zestawić te dwie wartości „wolność i przyjaźń".

W tym miejscu należy postawić pytanie „Cóż to jest wolność?".

(Encyklopedia): Wolność może oznaczać brak osobistego zniewolenia (więzienie, niewolnictwo, praca przymusowa, porwanie), brak ograniczeń ze strony władz (wolność słowa, wolność zgromadzeń) i innych jednostek, a także zwyczajów społecznych i warunków naturalnych.

Prawdziwa wolność jest w człowieku „szczególnym znakiem obrazu Bożego" (Sobór Watykański II, konst. Gaudium et spes, 17).

Błogosławiony Jan Paweł II w refleksji na temat ludzkiej wolności posunął się jeszcze dalej: „Owszem, można po-wiedzieć, że w pew-nym sensie Bóg jest ,,bezradny" wobec ludzkiej wolności. Rzec można, iż Bóg płaci za ten wielki dar, jakim obdarzył tę istotę, którą stworzył „na swój obraz i podobieństwo" (por. Rdz 1, 26). Pozostaje wobec tego daru konsekwentny. I dlatego staje wobec sądu człowieka, wobec uzurpatorskiego trybunału, który zadaje Mu prowokacyjne pytania: „Czy to prawda, że Ty jesteś królem?" (por. J 18, 37), „Czy to prawda, że wszystko, co się dzieje w świecie, w dziejach Izraela, w dziejach wszystkich narodów, zależy od Ciebie?" Wiemy, jaką odpowiedź dał Chrystus na to pytanie przed trybunałem Piłata: ,,Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie'" (J 18, 37). Ale w takim razie: „Cóż to jest prawda?" (J 18, 38). I w tym miejscu kończy się przewód sądowy – ów dramatyczny przewód, w którym człowiek postawił Boga przed sądem swej własnej historii. Z kolei zaś wyrok nie zapada zgodnie z prawdą. Piłat mówi: „Ja nie znajduję w Nim żadnej winy" (J 18, 38; 19, 6), a w chwilę później ogłasza: „Weźcie Go i sami ukrzyżujcie!" (J 19, 6). Tak więc wyrok człowieka na Boga nie opiera się na prawdzie, ale na przemocy, na doraźnej koniunkturze. Czyż to właśnie nie jest prawdą dziejów człowieka, prawdą naszego stulecia? Ten wyrok współcześnie powtórzył się w tylu trybunałach w ramach systemów totalitarnej przemocy."

Mówił też, że „chrześcijanin nie lęka się wolności, przed wolnością nie ucieka! Podejmuje ją w sposób twórczy i odpowiedzialny, jako zadanie swojego życia. Bo wolność nam dana jest przez Boga, jest nam nie tylko przez Boga dana, jest nam także zadana! Ona jest naszym powołaniem".

Jaki jest związek pomiędzy wolnością a przyjaźnią? Odpowiedź daje nam obrońca ludzkiej wolności, godności i solidarności – bł. ks. Jerzy Popiełuszko:
„Gdzie nie ma wolności, tam nie ma miłości, nie ma przyjaźni, zarówno między członkami rodziny, jak i w społeczności narodowej czy też między narodami. Nie można miłować czy żyć z kimś w przyjaźni przez przymus. Człowiek dzisiejszy jest bardziej wrażliwy na działanie miłości niż siły".

Czy możliwa jest zatem przyjaźń bez poświęcenia? Doskonale odpowiedział na to pytanie ks. Józef Tischner twierdząc, że przyjaźń „sama przez się pragnie się poświęcać. Ona umiera przez poświęcenie, ale również przez poświęcenie zmartwychwstaje".

W tym duchu właśnie przyjaźń można porównać do zapalonego płomienia, który z jednej strony oświetla ciemne strony domu, pozwala poruszać się w jasnym pomieszczeniu i ułatwia życie, a z drugiej ogrzewa atmosferę, roznieca iskrę do działania, stwarza poczucie bezpieczeństwa i nigdy nie parzy.

Oznacza to, że przyjaźń nie jest kokietką grającą ludźmi i traktującą ludzi jako łup zdobyty i do wykorzystania gotowy, lecz jest dobrem bez pytań o korzyści. Z tej racji słusznie śmieje się Cyceron z tych, którzy chcą mieć takich przyjaciół, „jakimi nie potrafią być sami, i wymagają od nich tego, czego ze swej strony nie wyświadczają", bo „jak chcecie, żeby wam ludzie czynili, podobnie wy im czyńcie" (Łk 6, 31).

ks. J. Popiełuszko i S. Jaworski

Każdy ma swój czas i konkretne zadanie do wykonania. Od nas zależy jak wykonamy zlecone nam zadanie. Każda epoka stawia przed ludźmi inne wyzwania, nasi przodkowie o wolność walczyli, a naszym zadaniem jest dobre zagospodarowanie wolności.

Na koniec zacytuję słowa wypowiedziane w Jarosławiu przez prezydenta Węgier przy pomniku przyjaźni polsko-węgierskiej: „Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Jesteśmy dumni, kiedy wspominamy wspólnych królów, od Ludwika Węgierskiego do Stefana Batorego i naszych wspólnych świętych. Prawdziwym symbolem przyjaźni polsko-węgierskiej są olbrzymie dwa dęby. Te dęby dalej się rozwijają i mają nowe liście, są dalej wplątane w siebie, czyli nasza przyszłość też będzie wspólna.

Jeszcze Węgry nie zginęły. Boże pobłogosław Polskę."

ks. **Leszek Kryża** SChr.

Węgierski gulasz i polskie pierogi

Jan Borkowski

W ostatnim okresie bardzo ważnymi stały się nowe, wciąż jeszcze dopracowywane zasady współpracy służb dyplomatycznych z rozsianą po świecie polską diasporą. Będziemy je pilnie śledzić również na łamach naszego pisma. Chcąc podsumować dotychczasowy etap tej współpracy o odpowiedź na kilka ważnych dla nas pytań poprosiłam pana ministra Jana Borkowskiego, który przez szereg lat, pełniąc funkcję sekretarza stanu ds. parlamentarnych, konsularnych, Polonii oraz informacji europejskiej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP, zajmował się problemami Polonii i Polaków za granicą.

– Panie Ministrze, z racji zajmowanej funkcji odpowiadał Pan przez szereg lat między innymi za sprawy Polonii, uczestniczył w pracach Międzyresortowego Zespołu do Spraw Polonii i Polaków za Granicą. Jaki na tle całości jest obraz Polonii węgierskiej?

– Przez ostatnie cztery lata miałem zaszczyt i przyjemność kierować pracami międzyresortowego zespołu, organizując w czasie kadencji rządu łącznie 25 posiedzeń. Jest to forum służące identyfikowaniu potrzeb naszych rodaków rozproszonych po całym świecie, formułowaniu polityki państwa polskiego w tym zakresie oraz koordynacji współpracy z Polonią i Polakami za granicą. To ważne i odpowiedzialne zadanie, ale także powód do satysfakcji, gdy spotyka się z zaufaniem naszych polonijnych partnerów do naszych intencji i praktycznych działań. Polonia i Polacy za granicą to ogromny potencjał polskości, poparty siłą gorącego patriotyzmu i zakorzenienia wśród innych narodów.

Problemy Polonii na świecie są liczne i bardziej zróżnicowane niż Polaków w Polsce, a losy ich rodzin niejednokrotnie bardziej złożone i naznaczone trudną historią. Na szczęście Polacy na Węgrzech mogą bazować na tradycji dobrych przez stulecia stosunków polsko-węgierskich, czerpać z tego, co tak pięknie opisują na pewno i Państwu dobrze znane słowa Stanisława Worcella, że „Węgry i Polska to dwa wiekuiste dęby. Każdy z nich wystrzelił pniem odrębnym i osobnym, ale ich korzenie szeroko rozłożone pod powierzchnią ziemi splątały się i zrastały niewidocznie". Ale na podkreślenie i docenienie zasługuje też specyficzny system organizacji mniejszości narodowych na Węgrzech i wsparcie państwa dla zorganizowanych grup narodowych. Mam wrażenie, że Polonia węgierska jest szczególnie dobrze zorganizowana i umiejętnie reprezentowana.

J. Borkowski w Budapeszcie

– Co w Pana ocenie w polityce Polski wobec Polonii można uznać za sukces, a co nie?

– Jest w Polsce powszechna zgoda co do tego, że Polonia i Polacy za granicą zasługują na stałe wsparcie w podtrzymywaniu ich tożsamości, utrzymywaniu więzi ze starą Ojczyzną oraz umacnianiu swojej pozycji w krajach zamieszkania. Bardzo chcielibyśmy, i do tego dążymy, aby nasi rodacy na świecie cieszyli się pełnią praw i korzystali z ogólnego rozwoju, ale nade wszystko osiągali osobiste sukcesy. Chcemy, by mogli być dumni z siebie i z Polski.

Ale współczesny świat jest coraz bardziej złożony, przybywa problemów i zagrożeń, kwitną egoizmy narodowe, a przyczyny niepowodzeń i trudności zrzuca się na „obcych". Polacy są niezwykle ruchliwi i mobilni, korzystają z otwartych europejskich granic i emigrują za lepiej płatną pracą, ale doświadczają wielu ograniczeń i trudności, a nierzadko nawet wrogości. Musimy nadążać z zapewnieniem dostępu do polskojęzycznej edukacji rodzącym się za granicą dzieciom „nowych emigrantów", walczyć o zagrożone prawa Polaków w niektórych krajach, ale z równą troską reagować na procesy starzenia się tradycyjnej Polonii oraz utraty kontaktu z językiem polskim, polskimi tradycjami i z rodzinnym krajem. To są stałe wyzwania i zadania dla nas wszystkich. A za sukces uważam siłę polskości i rosnącą pozycję Polski osiąganą dzięki wszystkim Polakom.

– „Polonia musi podjąć misję zmierzającą do uaktywnienia w kierunku budowania wizerunku Polaka służącego krajowi osiedlenia, a poprzez to również Polsce." – słowa te wypowiedział Pan w jednym z wywiadów udzielonych naszej gazecie w 2009 roku. Jak po latach doświadczeń zajmowania się sprawami Polonii i Polaków za granicą ocenia Pan realizację tego przesłania?

– Współczesna Polska to kraj cieszący się od ponad dwóch dziesięcioleci nieprzerwanym wzrostem gospodarczym, gdzie liczba młodzieży studiującej jest wyższa, niż liczba osób posiadających wyższe wykształcenie w 1989 roku. Stąd biorą się większe możliwości, większe aspiracje Polski, ale także oczekiwania od Polaków, w tym tych zamieszkałych poza granicami. A Polska jest na przykład takim krajem, którego obraz wciąż jest gorszy, niż ten mający oparcie w rzeczywistości. Przeciętny niemiecki biznesmen, francuski intelektualista czy chiński dziennikarz, wystawia nam dwa razy lepsze oceny niemal natychmiast po przyjeździe do Polski, niż przed tą wizytą. A ponieważ nie wszystkich jesteśmy w stanie ugościć w Polsce, niezwykle istotne jest, co się o nas mówi i pisze za granicą. Widzę tutaj wielką rolę dla Polonii jako naturalnego „przekaźnika" informacji o Polsce współczesnej i jej autentycznego adwokata.

– Co obecnie według Pana Ministra jest najważniejsze w relacjach Polska – Polonia?

– Najważniejsze jest trwałe wzajemne zaufanie i zrozumienie, utrzymywanie stałych kontaktów, szacunek dla polskości jako podstawy naszej tożsamości oraz troska o pozycję Polski i status Polaków w świecie.

Ważnym jest i będzie to, aby tak cenne dla nas wartości, jak demokracja, umiłowanie wolności, pokój, były jak najszerzej przekazywane innym nacjom. Aby Unia Europejska – w relacjach polsko-węgierskich zresztą już czwarta w dziejach – była postrzegana jako szansa, olbrzymi potencjał tu i teraz, ale także na przyszłość, pożądany model rozwoju współpracy międzynarodowej. To przecież wspaniałe, że mówiąc tyloma językami, wyrastając w tylu kulturach, jesteśmy w stanie współpracować ściśle ze sobą, a przy tym nie wyrzekając się swojej tożsamości. Zresztą, czy istnieje coś lepszego na świecie niż węgierski gulasz i polskie pierogi?

Korzystając z okazji, pozdrawiam wszystkich Czytelników i Sympatyków „Głosu Polonii", życzę moim rodakom na Węgrzech poczucia, że jesteśmy sobie bardzo bliscy, z troską myślimy o sobie nawzajem, a Polska jest naszym wspólnym dobrem.

Notowała: **Bożena Bogdańska-Szadai**

Z życia stowarzyszenia

Nowe kluby

Z dużą radością informujemy, że od jesieni ubiegłego roku w naszym stowarzyszeniu z coraz większym powodzeniem rozwijają swoją pracę nowe kluby, które powstały z prawdziwie życiowej potrzeby. Dotyczą one zarówno najmłodszej generacji stowarzyszeniowej, jak i seniorów.

W ramach **Klubu Matki Polki** w każdy piątek od godz. 11.00, pod fachowym okiem odbywają się zajęcia dla młodych mam i ich pociech.

Przygotowano także zupełnie nową ofertę dla osób **po 50-tym roku życia**: w piątki, w siedzibie stowarzyszenia, od godz. 17.00 odbywa się gimnastyka, prowadzona przez kwalifikowaną rehabilitantkę oraz seanse masażu zdrowotnego, wykonywane przez certyfikowaną masażystkę.

Przypominamy też, że w każdą sobotę od godziny 9.30 do 13.00 czynne jest nasze **bemowskie przedszkole**, które działa z myślą o dzieciach w wieku od 2,5 do 7 lat. Zajęcia, prowadzone przez nauczycielki z wykształceniem pedagogicznym, są nieodpłatne.

fot.: B. Pál

Klub Matki Polki

fot.: G.Horváth

Nauka języka polskiego

W stowarzyszeniu od jesieni odbywa się nauka języka polskiego stopnia podstawowego, a na lekcje, prowadzone przez kwalifikowaną nauczycielkę j. polskiego jako obcego, przychodzą przede wszystkim węgierscy członkowie Wspólnoty Polsko-Węgierskiej.

Imprezy

Karnawał dla najmłodszych

W mroźną sobotę 11 lutego pomieszczenia naszego stowarzyszenia w sposób szczególny rozbrzmiały dziecięcymi głosami. W holu odbywało się gorączkowe przebieranie w niecodzenne stroje. Specjalnie na tę okazję przygotowywano rytuał malowania twarzy. Wszystko to działo się w związku z rozpoczęciem Balu Karnawałowego dla dzieci.

Wśród przybyłych spotkać można było paromiesięczne maluszki, dzieci chodzące do żłobków, przedszkoli (miedzy innymi w stowarzyszeniu) oraz dzieci szkolne. Na młodych balowiczów czekały panie przedszkolanki: Małgorzata Juhász, Małgorzata Pietrzyk i Anna Lang. Z ramienia Stowarzyszenia witała dzieci prezes Halina Csúcs, Wanda Mészáros, Barbara Pál oraz Małgorzata Végh. Pierwsi mali goście zaraz po przyjściu znaleźli zajęcie. Malowali maski karnawałowe, a potem rozpoczęła się parada wspaniałych strojów. Pani prezes przywitała dzieci i osoby towarzyszące, zapraszając przybyłych do wspólnej zabawy. Były tańce, zabawy sprawnościowe, stoły zastawione ciasteczkami, pączkami, owocami. Dorośli wraz z maluchami (nawet tymi najbardziej nieśmiałymi) świetnie się bawili, wspólnie tańcząc, biorąc udział w grach. Czas minął szybko i przyjemnie. (M. Végh)

Koncert fortepianowy

25 lutego w siedzibie stowarzyszenia odbył się koncert fortepianowy w wykonaniu znakomitego węgierskiego pianisty Alexa Szilasi, który wykonał utwory Fryderyka Chopina i Franciszka Liszta. Organizatorem koncertu był SNP V dzielnicy Budapesztu.

Kobiece sprawy

10 marca, z okazji Dnia Kobiet Samorząd Polski V dzielnicy Budapesztu zorganizował w salonie naszego stowarzyszenia przedstawienie Teatru im. Józsefa Attili pt. „Nőügyek" (Kobiece sprawy). Autorem słowno-muzycznego spektaklu jest Jenő Heltai, a wykonawcami Artur Szőcs i Csaba Zöld.

Spotkanie przy pomniku Bema

14 marca, w dniu urodzin Józefa Bema, w przeddzień święta narodowego Węgier, z udziałem przedstawicieli tutejszych organizacji polonijnych, a także akredytowanej na Węgrzech polskiej dyplomacji, odbyło się tradycyjne spotkanie organizowane przez Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. J. Bema przy pomniku Bema w Budapeszcie.

KOMUNIKAT

Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im Józefa Bema na Węgrzech w roku 2011 uzyskało z odprowadzenia 1% od dochodów osobistych kwotę 179.045,- forintów. Dziękujemy ofiarodawcom i liczymy na gotowość wsparcia tą drogą naszej organizacji także w 2012 roku. Zainteresowani powinni na dyspozycji podać nazwę i adres Stowarzyszenia oraz nasz numer podatkowy, tj.:

19000943-1-41

Magyarországi Bem József
Lengyel Kulturális Egyesület
1051 Budapest Nádor u. 34. II/1

Bankszámlaszám
11705008 – 20012759 - 00000000
OTP. V. KER. fiókja
1052 Bp. Deák. F. u. 7-9
11705008 - 20012759- 00000000

Jednocześnie WSZYSTKICH CZŁONKÓW Stowarzyszenia prosimy o uregulowanie zaległych składek członkowskich.

ODESZŁA WE ŚNIE...

...i pali sobie papierosa pijąc kawę z Ellą Fitzgerald.

Owszem, napisała kiedyś parę wierszy o Leninie i do Stalina w młodzieńczych wzlotach na parnas partyjny, jednak warto dodać, szczególnie dla tych, którzy literaturze i czytaniu wierszy nie specjalnie poświęcają czasu, że Wisława Szymborska w 1996 roku nagrodą Nobla została nagrodzona nie za te zaangażowane kawałki.

Jej nieskrępowaną postać oraz niezakamuflowaną świadomość odnoszącą się też do własnej twórczości lat 40. i 50., trafnie opisuje wspomnienie krytyka literackiego Stefana Chwina:

„...To było spotkanie ze Stanisławem Barańczakiem i tam była też pani Wisława Szymborska. I rozpoczęliśmy rozmowę, wsiedliśmy razem do windy, ja i moja żona Krystyna Lars, ruszyliśmy w górę. I tak się złożyło, że winda zatrzymała się między piętrami. I byliśmy tylko my i Wisława Szymborska. I przeprowadziliśmy w związku z tym z nią wywiad o jej obecności w Londynie i o jej twórczości, (i) (…) o relacji między poezją a polityką. I to była rozmowa, w której ja wyczułem pewien dystans Wisławy Szymborskiej wobec tego tematu. Nie chciała o tym mówić szczegółowo, chociaż dosyć swobodnie powracała do tego swojego początkowego okresu, myślę tutaj o latach 50., kiedy wydała dwa tomy. To były książki socrealistyczne. I ona o tym mówiła bez żadnych zahamowań, przedstawiając siebie jako osobę, która po prostu w jakimś momencie uwierzyła w ideologię tamtego czasu. I przedstawiała siebie raczej jako osobę, która w jakimś momencie z tego wyszła. I właśnie w 1956 roku i później ten moment był dla niej bardzo istotny. To wtajemniczenie najpierw w tę ideologię, a potem z niej wyjście. To, co w niej było najciekawsze, to było takie połączenie obserwacji życia codziennego z bardzo głęboką refleksją o egzystencji człowieka. Jako jednostki, ale także jako gatunku. W moim przekonaniu w całej poezji polskiej wyjątkowe. Miała wspaniałe wyczucie dla takich realiów codzienności, które potrafiła obejrzeć z perspektywy najbardziej podstawowych pytań życia. (...)" [1]

To nie w jej obronie wyjaśnienie. Ona nie musi się bronić. Ma swoje wiersze, które warto czytać, które warto i można (z)rozumieć.

Czytając jej wiersze – czyli słuchając tego skromnie mądrego (bo nie patosowego) głosu – słyszę też głosy Jánosa Pilinszky-ego i trochę mniej wzniosły od głosu Pilinszkyego głos Ágnes Nemes-Nagy. Ale by usłyszeć i zrozumieć cokolwiek (nie tylko w literaturze), potrzebny jest słuch i wzrok, czyli umiejętność uwagi, oraz – jak mówiła Anna Dymna, interpretując teksty Szymborskiej – potrzebna jest również wiedza; nie ta pyszniąca się ex cathedra, i nie ta powierzchowna pół- czy ćwierćwiedza, zadowalająca się pozorami, ale ta zwyczajnie skromna, owa „egzystencjalno-humanistyczna" czytelnika, wywodząca się (rzecz jasna) z jego indywidualnych, osobistych doświadczeń, przeżyć. Lub wywodząca się ze zwykłej ciekawości. Musi to więc być uwaga interpretująca, refleksyjna. Czytanie wierszy Szymborskiej może skutkować niezrozumieniem lub niedocenieniem ich, czyli niedopatrzeniem się tego, co jest poza „naiwnymi" słowami, odrzuceniem złożonych form paradoksu egzystencjalnego, zarazem dekodującego go kontekstu.

Czytając jej wiersze widzę skupioną, jednak co do spraw „ostatecznych" wciąż niepewną, zachwianą (bo pytającą) osobę, usiłującą... – nie, ona nic nie usiłowała; widzę osobę, która posługując się lekkim, swobodnym (bo zdystansowanym) intelektem wrzuca na papier mądre (bo z humorem i ironią) konstrukcje paradoksu agnostycznego. Swą siłę przebicia też paradoksowi zawdzięcza: jej konstrukcje poruszają nas w sposób nie poruszony. Czyli jej dystans jest skierowany przede wszystkim wobec siebie: nic – zwłaszcza z uczuć – nie jest wypowiedziane wprost. Po drugie dystansem odnosi się do samego tworzywa, czyli słowa i języka – według relacji swojego sekretarza, Michała Rusinka, nie cierpiała wzniosłych słów, gadulstwa, przepychu. Zwięzłość i lapidarność fachu (czy tylko fachu?) przekłada się też na wielkość dorobku liczącego około 350 wierszy.

Podaję tu tylko jeden wiersz, jej ostatni, opublikowany w „Odrze" jeszcze za życia (zachęcam wszystkich ciekawskich do sięgnięcia na półkę po jej inne wiersze):

"Są katalogi katalogów.
Są wiersze o wierszach.
Są sztuki o aktorach grane przez aktorów.
Listy z powodu listów.
Słowa służące objaśnianiu słów.
Mózgi zajęte studiowaniem mózgu.
Są smutki zaraźliwe podobnie jak śmiech.
Papiery pochodzące z przemiału papierów.
Zobaczone spojrzenia.
Przypadki odmieniane przez przypadki.
Rzeki duże z poważnym udziałem niedużych.
Lasy po same brzegi porośnięte lasem.
Maszyny przeznaczone do wyrobu maszyn.
Sny, które nagle budzą nas ze snu.
Dobre zdrowie konieczne w powrocie do zdrowia.
Schody na tyle w dół, na ile w górę.
Okulary do szukania okularów.
Wdech i wydech oddechu.
I niechby bodaj od czasu do czasu
nienawiść nienawiści.
Bo koniec końców.
niewiedza niewiedzy
i ręce zatrudnione umywaniem rąk". [2]

I podajemy w całości jej mini-referat, czyli odczyt noblowski z roku 1996 – bo tekst „Poeta i świat" odczytany w Sztokholmie jest znakomitym przewodnikiem, wstępem lub przypisem do Szymborskiej i jej „artystycznej" postawy, czyli szeroko rozumianej poetyki – poetyki egzystencji:

„Podobno w przemówieniu pierwsze zdanie jest zawsze najtrudniejsze. A więc mam je już poza sobą... Ale czuję, że i następne zdania będą trudne, trzecie, szóste, dziesiąte, aż do ostatniego, ponieważ mam mówić o poezji. Na ten temat wypowiadam się rzadko, prawie wcale. I zawsze towarzyszyło mi przekonanie, że nie robię tego najlepiej. Dlatego mój odczyt nie będzie zbyt długi. Wszelka niedoskonałość lżejsza jest do zniesienia, jeśli podaje się ją w małych dawkach.

Dzisiejszy poeta jest sceptyczny i podejrzliwy nawet – a może przede wszystkim – wobec samego siebie. Z niechęcią oświadcza publicznie, że jest poetą – jakby się tego trochę wstydził. Ale w naszej krzykliwej epoce dużo łatwiej przyznać się do własnych wad, jeżeli tylko prezentują się efektownie, a dużo trudniej do zalet, bo są głębiej ukryte, i w które samemu nie do końca się wierzy... W różnych ankietach czy rozmowach z przypadkowymi ludźmi, kiedy poecie już koniecznie wypada określić swoje zajęcie, podaje on ogólnikowe «literat» albo wymienia nazwę dodatkowo wykonywanej pracy.

Wiadomość, że mają do czynienia z poetą, przyjmowana jest przez urzędników czy współpasażerów autobusu z lekkim niedowierzaniem i zaniepokojeniem. Przypuszczam, że i filozof budzi podobne zakłopotanie. Jest jednak w lepszym położeniu, bo najczęściej ma możność ozdobienia swojej profesji jakimś tytułem naukowym. Profesor filozofii – to brzmi już dużo poważniej.

Nie ma jednak profesorów poezji. To by przecież znaczyło, że jest to zatrudnienie wymagające specjalistycznych studiów, regularnie zdawanych egzaminów, rozpraw teoretycznych wzbogaconych bibliografią i odnośnikami, a wreszcie uroczyście otrzymywanych dyplomów. A to z kolei oznaczałoby, że po to, żeby zostać poetą, nie wystarczą kartki papieru zapisane choćby najświetniejszymi wierszami – konieczny jest i to przede wszystkim, jakiś papierek z pieczątką. Przypomnijmy sobie, że na takiej właśnie podstawie skazano na zesłanie chlubę poezji rosyjskiej, późniejszego Noblistę, Josifa Brodskiego. Uznano go za «pasożyta», ponieważ nie miał urzędowego zaświadczenia, że wolno mu być poetą... Przed kilkoma laty miałam zaszczyt i radość poznać Go osobiście. Zauważyłam, że on jeden, spośród znanych mi poetów, lubił mówić o sobie «poeta», wymawiał to słowo bez wewnętrznych oporów, z jakąś nawet wyzywającą swobodą. Myślę, że to przez pamięć brutalnych upokorzeń, jakich doznał w młodości.

W krajach szczęśliwszych, gdzie godność ludzka nie jest naruszana tak łatwo, poeci pragną być oczywiście publikowani, czytani i rozumiani, ale nie robią już nic albo bardzo niewiele, żeby na co dzień wyróżniać się wśród innych ludzi. A jeszcze tak niedawno temu, w pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku, poeci lubili szokować wymyślnym strojem i ekscentrycznym zachowaniem. Było to jednak zawsze widowisko

na użytek publiczny. Przychodziła chwila, kiedy poeta zamykał za sobą drzwi, zrzucał ze siebie te wszystkie peleryny, błyskotki i inne poetyczne akcesoria, i stawał w ciszy, w oczekiwaniu na samego siebie, nad niezapisaną jeszcze kartką papieru. Bo tak naprawdę tylko to się liczy.

Rzecz charakterystyczna. Produkuje się ciągle dużo biograficznych filmów o wielkich uczonych i wielkich artystach. Zadaniem ambitniejszych reżyserów jest wiarygodne przedstawienie procesu twórczego, który w rezultacie prowadził do ważnych odkryć naukowych czy powstawania najsłynniejszych dzieł sztuki. Można z jakim takim sukcesem ukazać pracę niektórych uczonych: laboratoria, przeróżne przyrządy, mechanizmy wprowadzone w ruch są zdolne przez pewien czas utrzymać uwagę widzów. Ponadto bardzo dramatyczne bywają chwile niepewności, czy powtarzany po raz tysiączny eksperyment, z drobną tylko modyfikacją, przyniesie wreszcie spodziewany wynik. Widowiskowe potrafią być filmy o malarzach – można odtworzyć wszystkie fazy powstawania obrazu od początkowej kreski do ostatniego dotknięcia pędzla. Filmy o kompozytorach wypełnia muzyka – od pierwszych taktów, które twórca słyszy w sobie, aż do dojrzałej formy dzieła rozpisanego na instrumenty. Wszystko to jest w dalszym ciągu naiwne i nic nie mówi o tym dziwnym stanie ducha, zwanym popularnie natchnieniem, ale przynajmniej jest co oglądać i jest czego słuchać.

Najgorzej z poetami. Ich praca jest beznadziejnie niefotogeniczna. Człowiek siedzi przy stole albo leży na kanapie, wpatruje się nieruchomym wzrokiem w ścianę albo w sufit, od czasu do czasu napisze siedem wersów, z czego jeden po kwadransie skreśli, i znów upływa godzina, w której nic się nie dzieje... Jaki widz wytrzymałby oglądanie czegoś takiego?

Wspomniałam o natchnieniu. Na pytanie, czym ono jest, jeśli jest, poeci współcześni dają odpowiedzi wymijające. Nie dlatego, że nigdy nie odczuli dobrodziejstwa tego wewnętrznego impulsu. Przyczyna jest inna. Niełatwo wyjaśnić komuś coś, czego się samemu nie rozumie.

Ja także, pytana o to czasami, istotę rzeczy obchodzę z daleka. Ale odpowiadam w sposób taki: natchnienie nie jest wyłącznym przywilejem poetów czy artystów w ogólności. Jest, była, będzie zawsze pewna grupa ludzi, których natchnienie nawiedza. To ci wszyscy, którzy świadomie wybierają sobie pracę i wykonują ją z zamiłowaniem i wyobraźnią. Bywają tacy lekarze, bywają tacy pedagodzy, bywają tacy ogrodnicy i jeszcze setka innych zawodów. Ich praca może być bezustanną przygodą, jeśli tylko potrafią w niej dostrzec coraz to nowe wyzwania. Pomimo trudów i porażek, ich ciekawość nie stygnie. Z każdego rozwiązanego zagadnienia wyfruwa im rój nowych pytań. Natchnienie, czymkolwiek ono jest, rodzi się z bezustannego «nie wiem».

Takich ludzi nie jest zbyt wielu. Większość mieszkańców tej ziemi pracuje, żeby zdobyć środki utrzymania, pracuje, bo musi. To nie oni z własnej pasji wybierają sobie pracę, to okoliczności życia wybierają za nich. Praca nie lubiana, praca, która nudzi, ceniona tylko dlatego, że nawet w tej postaci nie dla wszystkich jest dostępna, to jedna z najcięższych ludzkich niedoli. I nie zanosi się na to, żeby najbliższe stulecia przyniosły tutaj jakąś szczęśliwą zmianę.

Wolno mi więc powiedzieć, że wprawdzie odbieram poetom monopol na natchnienie, ale i tak umieszczam ich w nielicznej grupie wybrańców losu.

Tutaj jednak mogą się w słuchaczach zbudzić wątpliwości. Rozmaici oprawcy, dyktatorzy, fanatycy, demagodzy walczący o władzę przy

fot.: archiwum

pomocy kilku byle głośno wykrzykiwanych haseł, także lubią swoją pracę i także wykonują ją z gorliwą pomysłowością. No tak, ale oni «wiedzą». Wiedzą, a to, co wiedzą, wystarcza im raz na zawsze. Niczego ponad to nie są ciekawi, bo to mogłoby osłabić siłę ich argumentów. A wszelka wiedza, która nie wyłania z siebie nowych pytań, staje się w szybkim czasie martwa, traci temperaturę sprzyjającą życiu. W najskrajniejszych przypadkach, o czym dobrze wiadomo z historii dawnej i współczesnej, potrafi być nawet śmiertelnie groźna dla społeczeństw.

Dlatego tak wysoko sobie cenię dwa małe słowa: «nie wiem». Małe, ale mocno uskrzydlone. Rozszerzające nam życie na obszary, które mieszczą się w nas samych i obszary, w których zawieszona jest nasza nikła Ziemia. Gdyby Izaak Newton nie powiedział sobie «nie wiem», jabłka w ogródku mogłyby spadać na jego oczach jak grad, a on w najlepszym razie schylałby się po nie i zjadał z apetytem. Gdyby moja rodaczka Maria Skłodowska-Curie nie powiedziała sobie «nie wiem», zostałaby pewnie nauczycielką chemii na pensji dla panienek z dobrych domów, i na tej – skądinąd zacnej – pracy upłynęłoby jej życie. Ale powtarzała sobie «nie wiem» i te właśnie słowa przywiodły ją, i to dwukrotnie, do Sztokholmu, gdzie ludzi o duchu niespokojnym i wiecznie poszukującym nagradza się Nagrodą Nobla.

Poeta również, jeśli jest prawdziwym poetą, musi ciągle powtarzać sobie «nie wiem». Każdym utworem próbuje na to odpowiedzieć, ale kiedy tylko postawi kropkę, już ogarnia go wahanie, już zaczyna sobie zdawać sprawę, że jest to odpowiedź tymczasowa i absolutnie niewystarczająca. Więc próbuje jeszcze raz i jeszcze raz, a potem te kolejne dowody jego niezadowolenia z siebie historycy literatury zepną wielkim spinaczem i nazywać będą «dorobkiem»...

Marzą mi się czasami sytuacje niemożliwe do urzeczywistnienia. Wyobrażam sobie na przykład w swojej zuchwałości, że mam okazję porozmawiania z Eklezjastą, autorem jakże przejmującego lamentu nad marnością wszelkich ludzkich poczynań. Pokłoniłabym mu się bardzo nisko, bo to przecież jeden z najważniejszych – przynajmniej dla mnie – poetów. Ale potem pochwyciłabym go za rękę. «Nic nowego pod słońcem» - napisałeś, Eklezjasto. Ale przecież Ty sam urodziłeś się nowy pod słońcem. A poemat, którego jesteś twórcą, też jest nowy pod słońcem, bo przed Tobą nie napisał go nikt. I nowi pod słońcem są wszyscy Twoi czytelnicy, bo ci, co żyli przed Tobą, czytać go przecież nie mogli. Także i cyprys, w którego cieniu usiadłeś, nie rośnie tutaj od początku świata. Dał mu początek jakiś cyprys inny, podobny do Twojego, ale nie całkiem ten sam. I ponadto chciałabym Cię spytać, Eklezjasto, co nowego pod słońcem zamierzasz teraz napisać. Czy coś, czym uzupełnisz jeszcze swoje myśli, czy może masz pokusę niektórym z nich zaprzeczyć jednak? W swoim poprzednim poemacie dostrzegłeś także i radość – cóż z tego, że przemijającą? Więc może o niej będzie Twój nowy pod słońcem poemat? Czy masz już notatki, jakieś pierwsze szkice? Nie powiesz chyba: «Napisałem wszystko, nie mam nic do dodania». Tego nie może powiedzieć żaden na świecie poeta, a co dopiero tak wielki jak Ty.

Świat, cokolwiek byśmy o nim pomyśleli zatrwożeni jego ogromem i własną wobec niego bezsilnością, rozgoryczeni jego obojętnością na poszczególne cierpienia – ludzi, zwierząt, a może i roślin, bo skąd pewność, że rośliny są od cierpień wolne; cokolwiek byśmy pomyśleli o jego przestrzeniach przeszywanych promieniowaniem gwiazd, gwiazd, wokół których zaczęto już odkrywać jakieś planety, już martwe? jeszcze martwe? – nie wiadomo; cokolwiek byśmy pomyśleli o tym bezmiernym teatrze, na który mamy wprawdzie bilet wstępu, ale ważność tego biletu jest śmiesznie krótka, ograniczona dwiema stanowczymi datami; cokolwiek jeszcze pomyślelibyśmy o tym świecie – jest on zadziwiający.

Ale w określeniu «zadziwiający» kryje się pewna logiczna pułapka. Zadziwia nas przecież to, co odbiega od jakiejś znanej i powszechnie uznanej normy, od jakiejś oczywistości, do której jesteśmy przyzwyczajeni. Otóż takiego oczywistego świata nie ma wcale. Nasze zadziwienie jest samoistne i nie wynika z żadnych z czymkolwiek porównań.

Zgoda, w mowie potocznej, która nie zastanawia się nad każdym słowem, wszyscy używamy określeń: «zwykły świat», «zwykłe życie», «zwykła kolej rzeczy»... Jednak w języku poezji, gdzie każde słowo się waży, nic już zwyczajne i normalne nie jest. Żaden kamień i żadna nad nim chmura. Żaden dzień i żadna po nim noc. A nade wszystko żadne niczyje na tym świecie istnienie.

Wygląda na to, że poeci będą mieli zawsze dużo do roboty." zest.: **ABRA**

---

[1] Chwin o Szymborskiej: zgasło wielkie światło polskiej poezji

[2] ostatni wiersz Szymborskiej w Odrze

Opowieść leśnych konwalii

Ferenc Molnár wśród bohaterów bitwy pod Limanową (w środku, w cywilu)

Ferenc Molnár: Galicja 1914-1915. Zapiski korespondenta wojennego

Korespondent wojenny – w mundurze

Czasami bywa, że los bardzo długo każe nam czekać na urzeczywistnienie marzeń. Ákos Engelmayer, pierwszy po zmianie ustroju ambasador Węgier w Polsce, od dawna nosił w sobie zamiar zapoznania polskiego czytelnika z zapiskami Ferenca Molnára z galicyjskiego frontu I wojny światowej. Jako osiedlony w Polsce i głęboko zainteresowany wspólną historią naszych narodów Węgier, Engelmayer namiętnie buszował po kraju „bratanków", szukając jej namacalnych dziejowych śladów przez dziesiątki lat. A gdy został ambasadorem, to razem ze swoim dobranym zespołem dyplomatów starał się jak najwięcej takich miejsc zaznaczyć na trwałe tablicami pamiątkowymi czy pomnikami. Tak też było między innymi z cmentarzami wojskowymi w Galicji, do których uporządkowania lub odnawiania się przyczyniał. I nie tylko poznawał obecny wygląd okolic frontu, ale i za pomocą zapisków Molnára odtwarzał żywe obrazy wielkiej wojny, w której ginęli przecież Węgrzy, Polacy, Niemcy, Austriacy, Rosjanie i wiele ucierpiała miejscowa ludność. W swoich wystąpieniach, artykułach i wykładach uniwersyteckich także starał się przekazać jak najwięcej zebranej przez siebie wiedzy. Lecz kto go znał bliżej, doskonałe wiedział, że śnił o wydaniu w języku polskim właśnie zapisków Ferenca Molnára, którego często cytował przy różnych okazjach. Miał możliwość przyczynić się do przekładu dzieła, a że był do niego przywiązany bardzo mocno, sam postanowił tego dokonać. I to mu się w końcu udało. Renomowane wydawnictwo warszawskie MOST podjęło wyzwanie, polskie Ministerstwo Obrony Narodowej oraz Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych nie pożałowały grosza w dofinansowaniu inicjatywy, nad którą chętnie objęli patronat honorowy prezydenci naszych krajów: Bronisław Komorowski i Pál Schmitt. Dzięki temu w czwartek, 19 stycznia, w Ambasadzie Węgier w Warszawie mogła się odbyć prezentacja książki „Galicja 1914-1915. Zapiski korespondenta wojennego" Ferenca Molnára właśnie w tłumaczeniu Ákosa Engelmayera. Jak bardzo czekano na tę książkę w Polsce świadczy fakt, iż oba salony ambasady okazały się za ciasne, by pomieścić wszystkich zainteresowanych.

Urodzony w 1878 roku w Budapeszcie Ferenc Molnár znany jest w Polsce przede wszystkim jako autor klasyku literatury młodzieżowej, powieści „Chłopcy z placu Broni" (A Pál utcai fiúk). Ferenc Molnár był dziennikarzem i pisarzem. Pisał m.in. sztuki teatralne, chętnie adaptowane na musicale, oraz powieści. Był bardzo popularny w dwudziestoleciu międzywojennym, w 1937 roku wyemigrował do Szwajcarii z obawy przed prześladowaniami (miał żydowskie korzenie), a następnie osiedlił się w Nowym Jorku, gdzie zmarł w 1952 roku.

Okładka polskiego wydania

W trakcie I wojny światowej Molnár pracował jako korespondent wojenny. Swoje spostrzeżenia i wspomnienia z okresu podróży po Austro-Węgrzech doby Wielkiej Wojny zawarł właśnie w książce „Galicja 1914-1915. Zapiski korespondenta wojennego". Jego reportersko-literackie relacje z frontu ukazywały się w czołowych dziennikach węgierskich, zatem natychmiast były w zasięgu informacyjnym całego tamtejszego społeczeństwa. Jako rasowy dziennikarz rozmawiał ze wszystkimi napotkanymi, z żołnierzami walczącymi w pierwszej linii frontu, dowódcami, ludnością cywilną, polską czy żydowską, był obecny przy przesłuchaniach jeńców rosyjskich, w tym i Polaków. Nie obce były mu karpackie śniegi i błota okopów zmieszane z krwią poległych. Nie był wojskowym, ale znakomicie potrafił oddać atmosferę tamtych dni. Po wojnie wszystkie jego zapiski zostały opublikowane w jednym tomie. Dziś zapiski Molnára znów zaczynają budzić zainteresowanie i to nie tylko na Węgrzech. Dzieło to kształtuje obraz Wielkiej Wojny w sercu przeciętnego Węgra i jest świadectwem bohaterstwa ich przodków. Ale dla Polaków, a szczególnie dla Galicjan to przede wszystkim najważniejsze dzieło promujące tę część Polski, m.in. Zalesie, okolice Limanowej, Gorlic, Przemyśla i innych miejscowości.

Jak pisze w swojej recenzji książki na stronie Polityka.pl Tadeusz Olszański (tłumacz „Chłopców z Placu Broni" na polski) Ferenc Molnár „już w listopadzie 1914 roku jako wysłannik budapeszteńskiej bulwarówki »Est« znalazł się na linii frontu I wojny światowej, w Galicji, gdzie austro-węgierska armia zaciekle broniła się przed ofensywą Rosjan. Węgrom groziło wtedy przełamanie linii Karpat i wdarcie się rosyjskich wojsk. Był Molnár pod Limanową i na przełęczy Dukielskiej, gdzie toczyły się najkrwawsze bitwy, a potem z kontrofensywą odbijał z rąk Rosjan twierdzę w Przemyślu i Lwów. Swoje połączone z osobistym dziennikiem korespondencje wojenne zawarł w obszernym tomie, który dopiero po dziesiątkach lat doczekał się

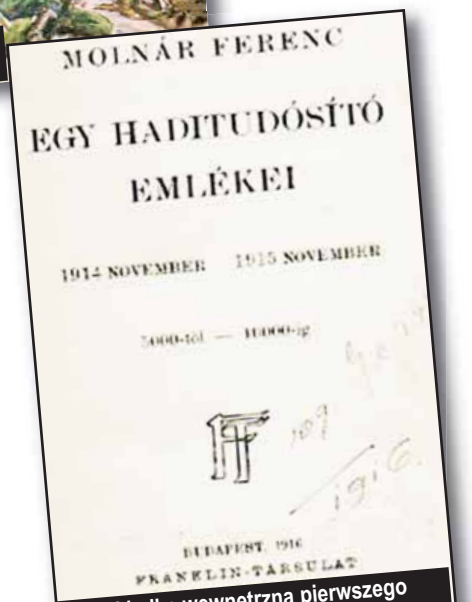

Okładka wewnętrzna pierwszego wydania książki Molnára

przekładu na język polski. I słusznie, że go przetłumaczono, bo nic nie stracił na znaczeniu. Jest to bowiem wstrząsający obraz masakry, jaka toczyła się na polskich ziemiach. Molnár w pełni zdaje sobie sprawę z dramatu Polaków w tej wojnie i podkreśla, że są najbardziej nieszczęsnym narodem na świecie, bo 800 tysięcy poborowych z zaboru rosyjskiego walczyło w tej wojnie z 740 tysiącami Polaków w austro-węgierskich i niemieckich mundurach. Akurat zbliżamy się do stulecia wybuchu tej wojny, która doprowadziła do upadku trzech wielkich europejskich monarchii i zmieniła obraz świata. W falach idących za sobą jedne po drugich natarć, koszonych ogniem broni ręcznej i maszynowej, po których zostało na polach tysiące poległych, co dokładnie relacjonuje Molnár. Albo jak cały zamarznięty na kość, zanurzony w śniegu po szyję batalion rosyjski w Karpatach. (...) Widzi i dotyka wojny. I mimo odległego czasu, upływu aż tylu lat, czyta się ten »rezultat rocznej męki korespondenta wojennego« – jak określił to sam autor – jednym tchem."

– Później liczne komedie, grane na scenach całego świata przygasiły początkową działalność reporterską Molnára, a był świetnym reporterem – mówi Tadeusz Olszański. O nowo wydanej książce Molnára dodaje: – Dowództwo armii austro-węgierskiej zadbało o to, aby całą grupę korespondentów wojennych wozić w różne miejsca. Jeśli idzie o prozę, to jest to najlepsza rzecz Molnára, bo później nie wrócił też do reportażu, poszedł w kierunku lekkich komedii, które pozwoliły mu odwrócić się od straszności, które przeżył.

– Książka ta wyszła na Węgrzech w 1916 roku, ale po drugiej wojnie światowej stała się na

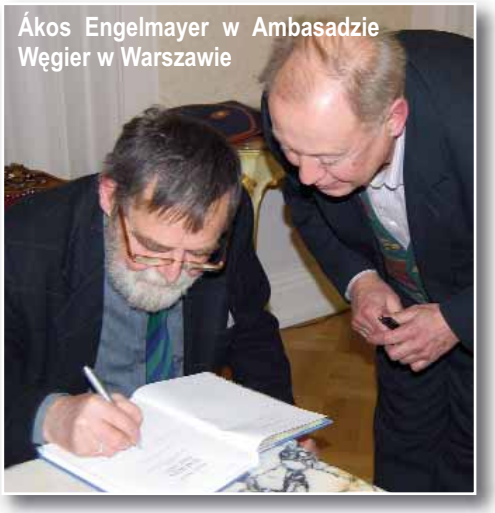
Ákos Engelmayer w Ambasadzie Węgier w Warszawie

ogół wręcz nieznaną – opowiada Ákos Engelmayer. – Trafiłem na nią w połowie lat 60., kiedy dla siebie odkrywałem zaniedbane wówczas cmentarze z I wojny światowej w Galicji. Gdy w stanie wojennym zostałem wyrzucony z pracy i półtora roku byłem bezrobotny, żeby spędzić czas pożytecznie, zacząłem ją tłumaczyć. Później miałem już umowę z wydawnictwem, ale ono zbankrutowało. Potem zostałem ambasadorem, a jako ambasadorowi nie wypadało mi chodzić za własnymi sprawami, później na Węgrzech przedłużono okres praw autorskich do lat 70. i dopiero teraz trafiłem na wydawnictwo MOST. Andrzej Karczewski zdobył prawa i zdecydował, że wyda książkę. No i wreszcie jest! Mówi prawdę o wielkiej wojnie i stanie ducha żołnierzy węgierskich. To nie jest Szwejk, to nie są CK dezerterzy, to są zwykli ludzie, którzy chcąc nie chcąc stają się bohaterami. Bronili nie tylko monarchii, królestwa Węgier, ale Europy przed nawałem rosyjskim – podkreśla Engelmayer.

A piszący te słowa pamięta, że kiedyś, bodajże w drugiej połowie lat 70., wędrując razem z Engelmayerem po galicyjskich cmentarzach I wojny światowej, Ákos za każdym razem wyciągał z sakiewki lekko postrzępiony tom Molnára i cytował z niego odnośne fragmenty, pakując nas do wehikułu czasu. Nie wiem, gdzie to było, ale to nie jest ważne, przecież mogło być gdzie bądź. Według zniszczonych wskazówek i tablic szukaliśmy wśród drzew i ściółki leśnej kolejnego cmentarza. Nagle zobaczyliśmy stok porośnięty chaszczami, pokrzywami, kępkami krzaków, a wśród nich zmurszałe, zaniedbane jednakowe krzyże. A w majowym słońcu jarzył się uderzający w oczy biały dywan konwalii, który obficie pokrywał cały stok. Spojrzeliśmy na siebie i drżącym od wzruszenia głosem na raz odruchowo zaczęliśmy śpiewać pieśń ludową, która powstała właśnie na ustach węgierskich żołnierzy służących na tej ziemi:

„Dobry Boże, gdzie ja będę umierać / czerwoną krew gdzie ja będę wylewać / w hen Galicji będę ja miał mogiłę / oj, matulu, matulu moja, nie płaczcie. / Oj, matulu, więcej listów nie napiszę / kula z karabinu przeszyła mi serce / pochowają mnie leśne konwalie / opłakują mnie dziewczyny..."

W pierwszej wojnie światowej kontynent europejski w sumie stracił 8 milionów 144 tysięcy ludzi. Z pośród Węgrów 530 965 żołnierzy skończyło swoje życie na frontach. Od wspomnianego majowego popołudnia w Galicji konwalie zawsze przypominają mi ich los.

Attila Szalai

Ciekawe wydawnictwa / Érdekes kiadványok

Ujkéry Csaba:
Szárnyszegetten a fény felé

Kiadó:
Berzsenyi Dániel Irodalmi és Művészeti Társaság

1939 szeptember 1-jétől 1945 karácsonyáig két szálon bonyolódik a regény, amikor a német tengelyhatalmak katonai szövetségeseként Horthy Miklós megtagadta, hogy Hitler csapataival Magyarország felől megtámadja Lengyelországot, ezt követően a kormányzó befogadta a lengyel menekülteket. Az első történetből megismerjük az ősi királyi város, a németek megszállta Krakkó hétköznapjait, a Wawel árnyékában élő mélységes hit megtartó erejét, mely meghatározó a lengyel nép életében. Itt játszódik Karol Wojtyła polgári élete az egyetemtől a színházon át, a kifutófiúságon keresztül a kőbányában végzett robotig. A sorscsapások alatt tudatosul benne a kiválasztottság, így jut el a szemináriumig, a tonzúra-szertartás utáni, az emberi tudattal alig felfogható magasságba ívelő hit kapujába. A másik szálon Henryk Sławik, a lengyel menekültek ügyeit intéző Polgári Bizottság elnökének és id. dr. Antall József, a magyar kormány menekültügyi biztosának valamint a boglarczykok története zajlik.

Lengyel tényirodalom –
NAGYVILÁG – december 2011
Kiadó: az Új Világ Alapítvány

Nagyon örültem, amikor megtudtam, hogy „Nagyvilág" egy teljes számot szentelt a lengyel riportnak. A Lengyelországban megbecsült műfajnak komoly hagyományai is vannak. A Nagyvilág decemberi számában a lengyel tényirodalomból Mariusz Szczygieł állított össze

egy válogatást az alábbi szerzőktől: Agnieszka Wójcińska „A kígyó vedli bőrét", Hanna Krall „A hamburgi nő", Małgorzata Szejnert „A teknősbéka háza", Mariusz Szczygieł „Reality", Wojciech Tochman „Hercegovina hegyei",Jacek Hugo-Bander „Cseresnyéskert", Włodzimierz Nowak „Fejkörfogat", Lidia Ostałowska „Hisz a véletlenben?", Angelika Kuźniak „Megölték bennem Heidit", Witold Szabłowski „Szeretettből tettem húgom". (**b.**)

„Nagyon is tudatában volt annak, hogy a neve lengyel név...”

In memoriam Dr. Moskovszky Éva

Dr. Moskovszky Éva régész, játéktörténész a székesfehérvári Moskovszky-gyűjtemény megalapítója büszke volt lengyel gyökereire. Nemegyszer úgy mutatkozott be, mint egy lengyel nő: „ Moskovszka”. Érdekes, vonzó egyénisége páratlan szaktudással és szellemiséggel párosult. Egy különleges gyűjtemény, számos tudományos cikk és egy lebilincselő könyv őrzi emlékét. Dr. Györgyi Erzsébettel, a Kiss Áron Magyar Játék Társaság elnökével idéztük fel alakját és munkásságát.

Dr Éva Moskovszky archeolog, historyk zabawek, założycielka zbioru-Moskovszky zawsze była dumna ze swoich polskich korzeni. Nieraz przedstawiała się jak Polka: „Moszkowska”. Jej interesująca, barwna osoba posiadała niezwykłą wiedzę i duchowość. Szczególny zbiór, liczne artykuły naukowe i niezmiernie ciekawa książka zachowały pamięć o niej. Z prezesem Węgierskiego Stowarzyszenia Zabawek im. Árona Kissa, dr Erzsébet Györgyi wspominamy jej postać i twórczość.

„Saját kíváncsiságomat akartam kielégíteni, amikor hozzáfogtam a táblás játékok korai történetének kutatásához. (...) Ezen az úton rádöbbenünk, mennyire lebecsültük a paleolitikum emberének értelmi képességeit. A játék mellett ott találjuk a jóslást, a mágiát, a vallási és világnézeti elképzeléseket, a filozófia, a matematika, geometria, építészet, művészet, csillagászat kezdeteit még nem differenciált állapotban. A korai ember nem volt „prelogikus” lény. Úgy érezte, fölötte álló erők játszanak sorsával. De nem akart kocka lenni egy láthatatlan kézben.” (Dr. Moskovszky Éva)

Trojan Tünde: *Dr. Moskovszky Éva, Éva néni művészettörténész, játéktörténész volt…*

Dr. Györgyi Erzsébet: Tulajdonképpen régész volt, régészetet tanult Alföldy Andrástól. A Magyar Nemzeti Múzeum munkatársa volt, ahonnan 1956 után elbocsájtották. Ezután különböző munkakörökben tevékenykedett, még közértes is volt, azután elkezdett fordítani, mivel több nyelvet is magas szinten ismert. Játék témájú könyvet is fordított, így az „Ezerarcú Babakönyvet”, ami máig is a legértékesebb babaismereti, babatörténeti könyv Magyarországon. Később sikerült visszakerülnie a Nemzeti Múzeumba, és az ottani könyvtár munkatársa lett. Könyvtárosként lett egy olyan feladata, hogy a Magyar Rádió tudományos műsorába kérték fel a beérkezett kérdésekre válaszadóként. A játékokat érintő kérdések nyomán kezdett neki annak a kutatásnak, melynek az eredménye a „Sors és játék” című könyv, mely 2004-ben jelent meg a Rácio kiadónál. Ez egy szerény megjelenésű könyv, azonban rendkívül fontos, nagyon nagy szaktudással, rendkívüli történeti és kultúrtörténeti ismerettel megírt munka, amelyből azt tudhatja meg az egyszerű olvasó, hogy azok a tevékenységek, amelyeket napjainkban játékként folytatunk, a korábbi időkben a kultusz, a jövendőmondás eszközei voltak, és szinte az emberek jövendő sorsának a megvilágítására, vagy az arról kialakított képzetnek a megalapozására voltak alkalmasak.

T.T.: *Éva néninek az édesapja révén voltak lengyel gyökerei.*

Gy.E. : A neve erről tanúskodik. Az édesapja valóban lengyel származású volt, de az az igazság, hogy mi többet tudunk az édesanya utáni őseiről, az Auer-ősökről. Az édesanyját Auer Erzsébetnek hívták, és az ő elődei Ausztriából érkeztek. Valahogyan úgy alakult a dolog, hogy ezt a nagy játékszeretetet, amely az életét végigkísérte, ezektől az ősöktől örökölte. Mindenesetre Éva nagyon is tudatában volt ennek, hogy az ő neve lengyel név, és nemegyszer úgy használta a saját nevét, ahogyan egy lengyel nő használta volna - Moskovszka.

T.T.: *Moskovszky Éva nagyon nagy tudással rendelkezett a babák terén és a művelődéstörténetet illetően is. Ezenkívül egy rendkívül szellemes hölgy volt…*

Gy.E.: Egy nagyon érdekes egyéniség volt, valódi kisugárzással, komoly köre volt tisztelőkből, akik részben játékbarátok voltak, részben a kultúra különböző területein működő személyek. Vonzó egyénisége maga köré gyűjtötte azokat az embereket, akikkel „egy húron pendült”. A játékgyűjtemény végigkísérte egész életét. Egyik oldalon végezte a játéktörténeti kutatásokat; egy kis büszkeséggel mondhatom: az, hogy ebből könyv lett és nemcsak egy olyan történet, amit ő elmesélt, abban a Kiss Áron Magyar Játék Társaságnak volt egy kis szerepe. Amikor édesanyja meghalt, akivel együtt gondozták a játékgyűjteményt (amely sok darabból álló, gyönyörű kompozíciókba rendezett gyűjtemény volt és bizonyos mértékig megtöltötte az életüket), Éva azt mondta, hogy ez a játékkal való foglalatoskodás olyan fájdalmas, hogy talán már nem is akarja tovább folytatni. Azonban én nem akartam ezt annyiban hagyni, és gyakran beszélgettünk erről, és akkor egy alkalommal azt mondta, „hogyha írnék, akkor megírnám a társasjátékok, a kockajáték történetét”. Végül a Kiss Áron Játék Társaság lett befogadója annak a pályázatnak, amit Éva benyújtott kutatásai támogatására. 2002-re kész volt a könyv alapszövege és 2004-ben pedig kiadásra kerülhetett ez a gyönyörű kis könyv.

T.T.: *Egy helyütt azt olvastam róla, hogy bár édesanyjának a babák voltak a szíve csücske, ő mégis inkább más játékok felé fordult.*

Gy.E.: Nem, erről szó sincs. Egy történet szerint édesanyja számára apja halála után véget ért a boldog gyermekkor. Azután úgy jött rendbe a dolog, hogy amikor a vőlegénye megkérte a kezét, akkor egy babát adott ajándékba. Így indult a babagyűjtés, ez az érdekes alkotófolyamat. Édesanyjával nem csupán gyűjtötték a szép babákat, de a babáknak komponáltak egy gyönyörű harmonikus környezetet. Különféle stílusú szobák olyan

Dr. Moskovszky Éva

bútorokkal berendezve, amiket a fiatal iparosok vizsgamunkaként készítettek. A falakon képek, függönyök és tapéta, az asztalokon terítők, a polcon kicsi szobrok, mini könyvek a könyvespolcokon, lámpák és csipke. A kicsi szobák lakói élik a maguk családi vagy hivatalos életét. Van olyan szoba, ahol varrónő tevékenykedik, de láthatunk kalapszalont, vegyesboltot, konyhát háziasszonnyal, fürdőszobát, ahol gyerekeket fürdetnek. Az egyik szobában ott áll egy elegáns dáma, és olyan jelenetet is látunk, ahol az egyik baba az Édesmama, akinek két csintalan kislánya van, Fruska és Zsuzska. Azt a műgondot nagyon nehéz így elképzelni, ugyanis a rendkívül gazdag műveltség nagyon jó ízléssel párosult. Jelen állapotában Székesfehérváron, a régi megyeházán, nyolc kisebb termet tölt meg ez az anyag. Most az a kilátás, hogy Fehérvárnak a legnagyszerűbb épületét kapja meg, az ún. Hiemer-Karaffa-házat, amelyet most állítanak helyre, s amelynek a dísztermét már most elnevezték Moskovszky Éva-teremnek. Ez a gyűjtemény európai mértékkel mérhető, és tapasztalataim birtokában azt mondhatom, hogy nem egy európai gyűjteményt felülmúl összeválogatottságával és megkomponáltságával. Az a művészi és érzelmi plusz, amit hozzá tudott adni ez a két hölgy, akik láthatóan minden legjobb tulajdonságukat ebbe helyezték. Sikerült megvalósítani, hogy ez a gyűjtemény olyan város keze alá kerüljön, amelyik meg tudta becsülni. Most már olyan tiszteletnek örvend, hogy a Kiss Áron Játék Társaság minden évben rendez ott egy konferenciát. Évához – habár köréből többen álltak hozzá közel – talán legközelebb mégis e gyűjtemény állt, ha egyáltalán szabad ilyet mondanom. Amikor az ember oda belép, akkor ott megérzi a mérhetetlen belesugárzott erőt. Nagyon érdekes, mert a közönség ezt veszi. A vendégkönyvbe minden alkalommal nagyon érdekes bejegyzések kerültek. Éva néninknek az a bejegyzés tetszett a legjobban, hogy egy gyerek ezt írta be: „végre egy normális múzeum”. A gyerekeknek kultúrát akarnak adni, elviszik olyan múzeumokba, ahol a kiállítások nem olyan módon vannak összeállítva, megszövegezve, hogy az őket lekösse, és akkor az nekik egy tortúra. Ez a gyűjtemény pedig egy élmény, egy kirándulás, egy kicsit olyan, mint a Sánta Ördög története, hogy bekukkantok ennek is az otthonába, meg annak is az otthonába, és akkor látom, hogy mit is csinál. Magántitkoknak leszek a megtudója, meglátója.

T.T.: *Lehet úgy fogalmazni, hogy Éva néni lelke ezekben a babákban itt maradt?*

Gy.E.: Ebben a gyűjteményben itt maradt. Abszolúte itt maradt.

Konferencia mozgássérült emberek rehabilitációjának elősegítéséről Rzeszówban és Krakkóban

APFRON - Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (Állami Rehabilitációs Alap a Fogyatékkal Élők Megsegítésére) - két vajdasági részlegének meghívására és szervezésében a magyarországi MEREK (Mozgássérült Emberek Rehabilitációs Központja) konferenciát tartott 2011 december 6-án Rzeszówban illetve 7-én Krakkóban a Guruló elnevezésű programról; a mozgássérült emberek rehabilitációját elősegítő program az Új Széchenyi Terv keretében valósult meg az Európai Unió Szociális Alapjának támogatásával. A konferenciák célja az eddig elért eredmények és a projekttel kapcsolatos, újszerűnek tekinthető segédeszköztechnológia bemutatása valamint a Lengyelországban hasonló területen dolgozókkal történő kapcsolatfelvétel volt. A látogatás tapasztalatairól Kogon Mihályt, a MEREK igazgatóját, a projekt szakmai vezetőjét kérdeztem, előtte azonban Gyulai Dávid, a Guruló hálózati referense foglalja össze a program lényegét.

Gyulai Dávid: A Guruló (az EU kiemelt, 5 millió Euro értékű beruházása) keretében meglehetősen rövid idő, mindössze 48 hónap alatt Magyarország 7 régiójában létesítettünk 1-1 segédeszköz műhelyt, főként a kerekes székek egyénekre adaptálására, szervizelésére és kölcsönzésére. A műhelyekben is – mint ahogy a MEREK többi intézményében – több tudományágat felölelő, komplex rehabilitációs szolgáltatást nyújtunk a mozgássérült embereknek. A műszaki munkatársak, a mozgásterapeuta és az orvos közös munkájával érjük el, hogy mindenki számára a legmegfelelőbb segédeszköz készüljön el, és azt az érintett használni is tudja. A mozgássérült emberek jobb ellátása mellett a program legnagyobb eredménye és büszkeségünk, hogy a Guruló 7 műhelyének felállításával mintegy 60 új munkahely létesült az országban, s hogy a foglalkoztatottak felét megváltozott munkaképességű dolgozók alkotják.

Sárközi Edit: *Miért gondoltak arra, hogy Lengyelországban is bemutatják a Guruló programot?*

Kogon Mihály: Mivel EU-s projektről van szó, kötelezettségeink között szerepelt a vele megvalósult eredmények ismertetése más EU-tagországokban. Ráadásul Lengyelország országaink kisebb közösségének, a Visegrádi Négyeknek is tagja, továbbá hogy a PFRON képviselői érdeklődtek a programról, és készen álltak fogadásunkra, így örömmel tettünk eleget ennek a kötelezettségünknek. Nem utolsó sorban mi is meg szerettük volna ismerni a mozgássérült emberekkel foglalkozó lengyel állami és civil szervezeteket, szisztémákat. Az a tény is közrejátszott a választásunkban, hogy a legnagyobb magyarországi gyógyászati segédeszközöket forgalmazó cég – amellyel érthetően szoros kapcsolatban állunk – nemrégiben lengyel tulajdonba került.

S.E.: *Milyen tapasztalatokkal érkeztek haza a lengyelországi konferenciákról?*

K.M.: Mindkét helyszínen az eseményeket megrendező, nagyjából a mi egészségbiztosítási pénztárunknak megfelelő intézmény képviselőin kívül civil szervezetek tagjai, üzletemberek és az érintettek, a mozgássérült emberek is megjelentek. Örömmel tapasztaltuk, hogy a Guruló műhelyhálózatunk nagy érdeklődést váltott ki – újdonságnak számított Lengyelországban, ilyen rendszer ott még nem létezik. Több szervezet képviselője jelezte, hogy szívesen együttműködnének velünk egy hasonló lengyel projekt felállításában. Természetesen felvettük a kapcsolatot az érdeklődőkkel, és várjuk megkeresésüket a továbblépésre. Addig is tanulmányozzuk azokat a lengyel mozgássérült emberek ellátásról szóló szakmai anyagokat, amelyeket a rendezőktől kaptunk.

S.E.: *Különbözik egymástól a két ország mozgássérült embereket ellátó rendszere?*

K.M.: Tapasztalataim szerint nagyban nem tér el egymástól a két rendszer, és mindkettő hasonlít a többnyire németországi modell alapján bevezetett európai ellátásokra, de a lengyel módszert valamennyire rugalmasabbnak ítélem a magyarénál. A konferenciákon a lengyel mozgássérült emberek elmesélték problémáikat, és közösen megállapítottuk, hogy mindkét ország rendszerében vannak még hiátusok. Átadtuk tapasztalatainkat a résztvevőknek arról is, hogy az FNO (a Fogyatékosságok Nemzetközi Osztályozása) szerint mi hogyan is mérjük fel az igényeket illetve hogyan próbálunk egyénre szabott szolgáltatásokat nyújtani a meglévő műszaki és módszertani háttérrel – e feladat egy részét már megoldottuk a 7 régiós műhely felállításával.

S.E.: *Most öntől, mint a Mozgássérült Emberek Rehabilitációs Központjának igazgatójától kérdezem, hogy az intézményeikben élők jártak-e már szervezett formában Lengyelországban, vagy fogadtak-e már lengyel mozgássérült embereket?*

K.M.: Sajnos, még egyik változatra sem volt példa, aminek sok oka lehet. Az egyik, hogy ezek az intézmények eléggé zártan működnek, az ilyen kapcsolatépítés pedig más működési módot igényelne - bár mi manapság megpróbálunk elég sok mindenre nyitni. Úgy gondolom, hogy a rehabilitációs központunk mára egy sokkal nyitottabb intézménnyé vált, mint amilyen a korábbi években volt. A kapcsolatépítés remek katalizátora pedig éppen ez az EU-s Guruló program, hiszen általa nyitnunk kellett a világra, több országban mutatkozhatunk be. S a lengyelországi konferenciák eredménye az a tavaszi találkozás is, amikorra egy Rzeszów-ban megismert civil szervezet képviselője jelezte látogatását intézményünkbe.

S.E.: *Volt-e idejük körülnézni a két lengyel nagyvárosban?*

K.M.: Rzeszówban sajnos csak a belvárosra jutott egy kis időnk, de Krakkóban két napot töltöttünk el. Ott is természetesen megnéztük a belvárost, és ellátogattunk a Wawel-be, sőt, még a Wieliczka-i sóbányába is eljutottunk. Úgy vélem, hogy mind Krakkó, mind környéke roppant gazdag kultúrájú része Lengyelországnak, amit persze mindig is tudtunk. Jól emlékszem fiatalkoromból arra is, hogy a lengyel filmművészet és a jazz milyen erős hatást gyakorolt a magyar társművészetekre. Egy kellemes krakkói jazz-kocsmában pedig fel is idézhettük az emlékeket.

A hasznos szakmai tapasztalatokon és az új kapcsolatokon túl nagyon gazdag élményekkel tértünk haza, s örülök, hogy annak a fajta sokszínűségnek, amelyet Krakkó magában hordoz, egy kis szeletével megismerkedhettünk.

Sárközl Edit

fotó: MEREK

Co ma wspólnego źdźbło i ochrzczony?

czyli o tym, jakie trudności niesie za sobą nauka języka polskiego...

Po wpisaniu w wyszukiwarkę internetową hasła „przyjaźń polsko-węgierska" pojawia się 25.300 wyników, na pierwszym miejscu oczywiście znane obu narodowościom przysłowie: „Polak – Węgier dwa bratanki…". Tekst ten potrafią wyrecytować (czasem nawet w obu językach) spotykający się w różnych częściach świata przedstawiciele obydwu narodów.

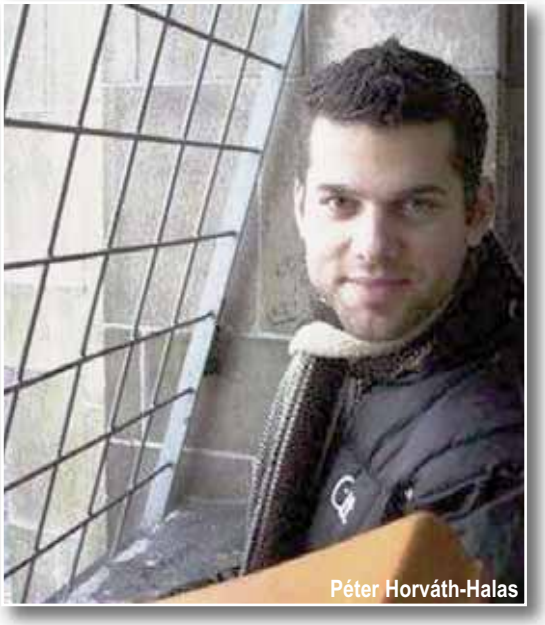
Péter Horváth-Halas

Jak jednak w rzeczywistości wygląda nasze wzajemne postrzeganie siebie i funkcjonowanie Węgra w Polsce i Polaka na Węgrzech? Czy zgodnie ze stereotypem Polak jest postrzegany jako pieniacz, religijny patriota, człowiek gościnny, chętnie zapraszający w swoje progi i chętnie z gościem pijący, a ponadto typowo kojarzony z mlecznobiałą cerą, wysokim wzrostem i blond włosami? Taki obraz utarty jest od wieków. Czy ma on wiele wspólnego z rzeczywistością?

O zalety, przywary Polaków, a także o trudności związane z pierwszymi krokami w Polsce zapytaliśmy Pétera Horváth-Halasa – Węgra, który od kilka lat mieszka w kraju nad Wisłą i perfekcyjnie opanował język polski.

Péter nie pochodzi z rodziny polsko-węgierskiej i nie miał wcześniej żadnych koneksji z Polską, jednak to tam ukończył studia i pracował (Kraków, Rzeszów), a przy tym poznał wady i zalety naszego kraju.

– Co zadecydowało o wyborze Polski jako przystanku życiowego i o zamiarze nauki języka polskiego?

– Właściwie to był przypadek. Każdy, kto uczył się na uniwersytecie, musiał wybrać dwa języki obce. U mnie ten wybór padł m.in. na język polski, co zaowocowało wyjazdem do Krakowa i spędzeniem pięciu lat w Polsce.

– Jakie były początki pobytu w Polsce, na ile znałeś język polski w momencie przyjazdu?

– Na początku niewiele rozumiałem, praktycznie nic. Język i reguły, które opisywane są w podręcznikach to jedno, a kontakt z żywym językiem to zupełnie inna historia. Gramatykę można opanować, słownictwo też, gorzej już z wymową, a najtrudniej jest zrozumieć całokształt, kiedy słyszy się rozmawiających ludzi. Polacy mówią bardzo szybko, jak każdy w swoim ojczystym języku, a to z pewnością nie ułatwia obcokrajowcowi płynnego zrozumienia.

– Czy Polacy są życzliwi dla obcokrajowca, który nie zawsze potrafi się wysłowić, czy też są niecierpliwi?

– Są życzliwi, pomagają w nauce polskiego, nie tracą cierpliwości, mają pozytywne nastawienie. Na początku swojego pobytu czułem się wyobcowany, nawet były takie momenty, że chciałem wracać na Węgry. Dzięki życzliwości poznanych ludzi tak się nie stało. Spotkałem Polaków, którzy znali węgierski, zaczęły się wspólne wyjścia, coraz więcej rozmów po polsku i z dnia na dzień było łatwiej.

– Dziś, po pięciu latach w Polsce, Twój język polski jest perfekcyjny. Po jakim czasie poczułeś się swobodnie w komunikacji międzyludzkiej?

– Musiałem bardzo szybko się uczyć. Wtedy jeszcze nie znałem angielskiego, więc w Polsce próbowałem komunikować się po niemiecku i francusku, ale z kolei z tymi językami u Polaków był problem, raczej ich nie znają. Byłem więc zmuszony mówić po polsku. Już po dwóch tygodniach próbowałem się porozumiewać w tym języku, ale czas pełnego zrozumienia nadszedł po 2-3 latach. To już było 100% zrozumienia tekstu i brak problemów z wysławianiem się.

– Pamiętasz jakie słowa sprawiały Ci najwięcej trudności?

– Macie trudną odmianę, po roku nadal ciężko mi było odmienić słowo „lampa". Jeśli chodzi o trudne polskie słówka są to np. „źdźbło", „ochrzczony".

– Jakimi cechami według Ciebie odznaczają się Polacy?

– Zwróciłem uwagę na to, iż są głośni. Nie ma to tylko sensu negatywnego, ale i pozytywny wydźwięk – rozmawiają ze sobą, nawet jak się nie znają, np. w poczekalni u lekarza. Wynika to z ich większej otwartości, chętnie zapraszają nowopoznanych, są gościnni. Są też bardziej wylewni niż Węgrzy.

– Jak obcokrajowcy, sąsiedzi postrzegają Polskę?

– Polska, niestety, nadal jest odbierana jako kraj biedny, podobnie jak Rosja. Natomiast Polacy kojarzeni są jako wysocy blondyni, tak wysocy, że nie mieszczą się w drzwiach windy. Uważamy ich natomiast za naszych braci.

– Czy w oczach obcokrajowca Polacy są ludźmi godnymi zaufania?

– Nie do końca, nie tak jak mieszkańcy Europy Zachodniej. Inaczej odbierani są Polacy w Polsce, a inaczej Polacy poza swoim krajem. Polak w Polsce jawi się jako ciągle walczący. Może wynika to z „walczącej" historii Polski, jeśli nie ma wojny, to walczą ze sobą, np. w sferze polityki. Jest to bardziej zaawansowane niż u Węgrów. Polacy są też przywiązani do tradycji, do uroczystości narodowych. Natomiast Polak za granicą walczy z tubylcami, a z rodakami bawi się, pije – to też obraz Polaka (uśmiech).

– Twoim zdaniem, co ma Polska do zaoferowania obcokrajowcom?

– Polska jest największym krajem w naszym regionie. Oferuje różnorodność, piękne krajobrazy, atrakcje turystyczne, znakomite imprezy, dobrą muzykę – różne jej gatunki. Polska oferuje darmowy system edukacyjny, co jest wielką zaletą. Natomiast kuchnia polska mi akurat nie przypadła do gustu, poza czerwoną kapustą. Ale wiem, że obcokrajowcy w niej gustują. Mnie fascynuje rozwój gospodarczy, prosty przykład: rok 2004, Kraków, dworzec, jedno błoto… po dwóch latach piękny plac i Galeria Krakowska. Budynki są odnawiane, rynek zadbany. W Polsce nie bałem się, że stracę pracę i będę mieć problem ze znalezieniem kolejnej. Zachęcają tutaj też podatki, które są niższe niż na Węgrzech.

– Jakie różnice dostrzegasz między Polakami a Węgrami?

– Węgier chyba więcej narzeka, Polacy z kolei mają gorsze interpretacje rzeczywistości. Polak jest bardziej religijny, ale też nie ma w Polsce za wiele opcji. Węgrzy są większymi materialistami, nie są też tak rodzinni jak Polacy. W Polsce rodzina spędza więcej czasu razem, wspólne obiady, wczasy, na Węgrzech nie do tego stopnia.

– A jakie masz zdanie o polskich kobietach?

– Niestety, raczej negatywne. Miałem kolegów, którzy mieli dziewczyny Polki, były strasznie głośne, chciały całkowicie dominować. Osobiście drażni mnie sytuacja, kiedy dziewczyna, na przykład na przystanku, krzyczy na swojego partnera… Ale z drugiej strony Polki są ładne i zadbane.

– Czy Polska to dobry kraj, aby otworzyć w nim nowy rozdział swojego życia? Czy mógłbyś przenieść się do Polski?

– Zdecydowanie tak, już nawet po pięciu latach spędzonych w Polsce mogę powiedzieć, że uważam ją za swój drugi dom. Dobrze rozumiem Polaków, są mi bliscy. Nie wykluczam, że po jakimś czasie może mi się znudzić, ale na chwilę obecną zdecydowanie tak.

Rozmawiała **Tatiana Szypulska**

Radość pisania

Był wczesny, ciepły poranek sobotni, początek lutego. Choć jeszcze ciemno, kookaburry jako pierwsze z ptaków rozpoczęły swój koncert. Włączyłam komputer, a tam e-mail od Pani Redaktor, przypominający bardzo skromnie o zbliżającym się terminie zamknięcia kolejnego numeru „Głosu Polonii", oraz drugi, od mojego bratanka, informujący o śmierci naszej noblistki Wisławy Szymborskiej. Mój bratanek dołączył adres internetowy dokumentu nakręconego dwa lata temu o tej sławnej poetce, pt. „Chwilami życie bywa znośne".

Moje wczesne przebudzenie miało na celu pisanie felietonu, a nie przeglądanie poczty internetowej... Tymczasem obejrzałam z wielkim zainteresowaniem wyżej wspomniany, przeszło godzinny film, nakarmiłam dwie kotki, wzięłam prysznic, zrobiłam poranną gimnastykę, zjadłam śniadanie, zaparzyłam dzbanek zielonej herbaty i dopiero potem zabrałam się do pisania. Szło mi jako tako, choć nie mogłam sobie poradzić z początkiem i zakończeniem felietonu.... Około południa zadzwonił telefon: „Jedziesz z nami do A. na basen?" - zapytała koleżanka M. „Jadę!" – odpowiedziałam prawie bez wahania, bo kiedy mowa o pływaniu, to zawsze jestem chętna. Basen u A. jest na dodatek podgrzewany energią słoneczną. Aby nie mieć wyrzutów sumienia, przygotowałam do zabrania również mój laptop, planując skończyć pisanie w czasie tej wizyty, oraz dwa tomiki poezji pani Wisławy. Zanim przyjechała po mnie M. z mężem Z., zadzwonił po raz drugi telefon: „Co robisz jutro?" – zapytała koleżanka L. „Piszę artykuł i nie będę miała czasu dla nikogo, a poza tym zaraz przyjadą po mnie znajomi i jedziemy na basen!" – wypaliłam jednym tchem, prawie w panice. L. jest bardzo wyrozumiała, bo wie, że z reguły co mam na myśli, to i na języku, więc nie przedłużając rozmowy, poprosiła tylko: „Zadzwoń do mnie, jak wrócisz, przed jedenastą wieczorem!" „Zadzwonię najpóźniej przed dziesiątą!" – obiecałam odkładając słuchawkę i poszłam otworzyć drzwi M. Następnie chwyciłam torbę i zatrzasnęłam drzwi za sobą. O laptopie przypomniałam sobie w samochodzie, w połowie drogi na basen. Moje roztrzepanie dało o sobie znać. Słoneczne popołudnie u A. upływało szybko i przyjemnie. Po pływaniu i opalaniu, przy zastawionym stole, na świeżym powietrzu, czytałam na głos wiersze pani Wisławy, głównie z tomiku: „Rymowanki dla dużych dzieci". Rozbawiły nas, zwłaszcza „Podsłuchańce", czyli fragmenty rozmów podsłuchanych przez poetkę w pociągach, kawiarniach i gdzie się tylko dało. Wśród limeryków, pisanych w czasie licznych podróży autorki, znalazłam jeden na temat węgierski:

Wy, co macie zaszczyt mieszkać w

Peszcie, nigdy kota pod włos nie czeszcie!
Może brutalni ludzie
tak robią w pobliskiej Budzie,
ale wy? Zreflektujcież się wreszcie!

M. i Z. przywieźli mnie do domu około dziewiątej wieczorem. Po wyjściu z samochodu pamiętałam, że mam zadzwonić do L. Zrobiłam sobie relaksującą herbatkę, pokręciłam się po kuchni, ułożyłam do snu w pralni nasze kotki, zamieniłam kilka słów z synem, następnie poszłam do sypialni i... po prostu zasnęłam!

Obudziłam się w środku nocy, o drugiej i oczywiście od razu przypomniałam sobie, że nie wykonałam obiecanego telefonu! Włączyłam więc komputer i napisałam przepraszający e-mail do L. Jakoś nie mogłam potem zasnąć, więc postanowiłam coś poczytać. Z reguły, kiedy budzę się o takiej nienormalnej dla mnie porze, dzwonię do Europy, ponieważ rozmowy są wtedy tańsze, niż w ciągu dnia. W Europie jest o dziewięć godzin wcześniej. Dziś jednak postanowiłam nie dzwonić i nie zawracać głowy nikomu w sobotni wieczór. Tomik Szymborskiej „Widok z ziarnkiem piasku" leżał przy moim łóżku. Na okładce – kopia rękopisu jednego z utworów poetki. Początek pierwszego wiersza, który otworzyłam na chybił trafił, szczególnie przemówił do mnie:

Dziękuję ci, serce moje,
że obudziłam się znowu
i chociaż jest niedziela,
dzień odpoczywania,
pod żebrami trwa zwykły
przedświąteczny ruch.

Wzruszający wydał mi się następny wiersz, „Kot w pustym mieszkaniu", napisany z perspektywy zwierzęcia uparcie czekającego na właściciela, którego już nie ma...

Niech no on tylko wróci,
niech no się pokaże.
Już on się dowie,
że tak z kotem nie można.
Będzie się szło w jego stronę
jakby się wcale nie chciało,
pomalutku,
na bardzo obrażonych łapach.
I żadnych skoków pisków na początek.

Prawie wszystkie wiersze, które przeczytałam, urzekły mnie finezją przemyśleń i opisów. Zagłębiłam się w nie, zrobiłam notatki, a potem przyłożyłam głowę do poduszki i zasnęłam, bo wciąż było jeszcze nieprzyzwoicie wcześnie. Obudziłam się o szóstej, wyspana i wypoczęta. Wczorajsze pływanie zrobiło swoje. Było słonecznie i znów głośno od świergotu ptaków. Kotki, ruda i czarna, czekały cierpliwie na otwarcie drzwi od pralni, nakarmienie i pogłaskanie (choć nie pod włos!), więc od nich zaczęłam dzień. Potem jak zwykle ćwiczenia, prysznic, makijaż, herbata – i znów byłam gotowa do pisania. Śniadanie odłożyłam na później. W domu było cicho, bo dla mojego syna szósta rano w niedzielę, to środek nocy. Pewnie zresztą nie tylko dla niego...

Myślę sobie, że dobrze było wyjść wczoraj z domu, zmienić tok myślenia i zacząć pisać felieton od nowa... Odłożony na bok tekst być może dojrzeje do następnego numeru. Nie wiem jeszcze, jakie zdjęcie dołożę do dzisiejszego felietonu... Nic nowego zapewne nie wymyślę, ponieważ zgubiłam niedawno mój mały aparat fotograficzny, który zawsze nosiłam przy sobie. „Zgubiłam" – to może niewłaściwe słowo, ponieważ mam wrażenie, że po prostu gdzieś mi się zawieruszył, albo, mówiąc żartobliwie, „złe go przysiadło"... Pani Wisława ujęłaby to jednak piękniej: „Podziało się, przepadło, na cztery wiatry rozwiało". Na szczęście mam w komputerze sporo zachowanych zdjęć. Coś wciąż gubimy, coś znajdujemy... Czymś się cieszymy, nad czymś płaczemy... Poetka opisała te dwie strony życia w cudowny sposób:

Dlatego jeśli radość, to z domieszką trwogi,
jeśli rozpacz, to nigdy bez cichej nadziei.
Życie, choćby i długie, zawsze będzie krótkie.
Zbyt krótkie, żeby do tego coś dodać.

Natomiast „Radości pisania" pani Wisława podsumowała krótko i trafnie:

Radość pisania,
Możność utrwalania,
Zemsta ręki śmiertelnej.

Odeszła wielka poetka, została poezja pełna mądrości i głębi, utrwalona dla przyszłych pokoleń. Chylę czoła przed jej geniuszem i z radością kontynuuję moje pisanie.

Maria Agoston
Brisbane, Australia
fot.: autorka

KONTAKTY

Ambasada Rzeczpospolitej Polskiej w Budapeszcie
1068 Budapest,
Városliget fasor 16.
tel.: 413-8200

Wydział Konsularny Ambasady RP w Budapeszcie
1068 Budapest,
Városliget fasor 16.
tel.: 413-8200

Ogólnokrajowy Samorząd Polski na Węgrzech
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 261-1798

Stołeczny Samorząd Polski na Węgrzech
1054 Budapest, Akadémia u. 1-3.
tel.: 332-1979 fax: 302-5116

Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. J. Bema na Węgrzech
1051 Budapest, Nádor u. 34. II. p.
tel.: 311-0216 tel./fax: 312-8204

Stowarzyszenie Katolików Polskich na Węgrzech pw. św. Wojciecha i Dom Polski
1103 Budapest, Óhegy u. 11.
tel./fax: 262-6908

Polska Parafia Persolnalna na Węgrzech
1103 Budapest, Óhegy u. 11.
tel.: 431-8414

Szkoła Polska im. S. Petőfiego przy Ambasadzie RP w Budapeszcie
1025 Budapeszt, Törökvész út 15.
tel./fax: 326-8306

Ogólnokrajowa Szkoła Polska na Węgrzech
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 261-2748

Muzeum i Archiwum Węgierskiej Polonii
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 260-8023

Instytut Polski w Budapeszcie
1065 Budapest, Nagymező u. 15.
tel.: 311-5856 fax: 331-0341

Polskie Przedstawicielstwo Turystyczne Oddział w Budapeszcie
1075 Budapest, Károly krt. 11.
tel. 269-7809

Program radiowy:
Redakcja Polska „Magyar Rádió" RT
1800 Budapest, Bródy S. 3-5
„Magazyn Polski" – emisja
w każdą sobotę (13.30-14.00)
pr. MR4 (fale średnie 873 i 1188 kHz)
oraz z: www.radio.hu

Polonijna strona internetowa:
www.polonia.hu

Wiadomości konsularne

UWAGA STUDENCI!
STYPENDIA FUNDACJI SEMPER POLONIA

O stypendium mogą ubiegać się osoby, które: mają polskie pochodzenie, studiują na Węgrzech, osiągają w nauce wyniki co najmniej dobre, posługują się językiem polskim w stopniu dobrym, aktywnie działają na rzecz miejscowego środowiska polonijnego, nie posiadają stałego zatrudnienia, nie otrzymują i nie ubiegają się o stypendium z innej polskiej organizacji społecznej lub instytucji rządowej, ukończyły szkołę średnią z polskim językiem nauczania (chyba, że nie ma takiej szkoły w miejscu zamieszkania wnioskodawcy), nie ukończyły 24 roku życia w momencie składania pierwszego wniosku o przyznanie stypendium.

Nabór studentów do otrzymania stypendium Fundacji SEMPER POLONIA prowadzony jest dwa razy w roku: do 1 marca (na semestr wiosenny) i do 1 sierpnia (na semestr jesienny). Nie później niż do wskazanych wyżej terminów możliwe jest zarejestrowanie, wypełnienie i finalne złożenie wniosku w formie elektronicznej.

Aby złożyć wniosek stypendialny o przyznanie stypendium SEMPER POLONIA należy zarejestrować się w systemie pod adresem: stypendia.semperpolonia.pl i wypełnić formularz zgłoszeniowy. Dotyczy to również studentów, którzy ubiegają się o stypendium po raz kolejny.

Od stycznia 2012 r. jest to jedyna możliwa forma złożenia aplikacji o stypendium (Zintegrowany Elektroniczny System Stypendialny: ZESS). Po wypełnieniu formularza należy dołączyć pliki wymaganych dokumentów w formie skanów:

1) raport z działalności na rzecz środowiska polonijnego potwierdzony przez przedstawiciela organizacji, w której student działa;
2) zaświadczenie z uczelni z ocenami i średnią ocen za ostatni ukończony semestr nauki;
3) zaświadczenie potwierdzające wysokość otrzymywanego stypendium z uczelni (jeśli student je otrzymuje).

Wszystkie dokumenty składane przez studentów polonijnych powinny zostać przekazane do Fundacji z tłumaczeniem na język polski. Dokumenty przetłumaczone osobiście przez aplikantów muszą być potwierdzone własnoręcznym podpisem.

Odpowiednio w terminie do 15 marca lub do 15 sierpnia należy złożyć w urzędzie konsularnym oryginały wymaganych dokumentów wraz załącznikami, w celu potwierdzenia i zaopiniowania zgodnie z regulaminem przez polską placówkę dyplomatyczną. Osoby ubiegające się o stypendium po raz pierwszy muszą dodatkowo przedstawić w konsulacie dokumenty potwierdzające polskie pochodzenie.

Zachęcamy wszystkich spełniających powyższe warunki studentów, do składania wniosków o stypendia Fundacji SEMPER POLONIA.

Więcej informacji na stronie: www.semperpolonia.pl.

GŁOS POLONII

Kwartalny dodatek miesięcznika
„POLONIA WĘGIERSKA"
Pismo założone przez PSK im. J. Bema
na Węgrzech w 1987 r.
wspierane przez:
Rząd Węgier za pośrednictwem
Ogólnokrajowego Samorządu Polskiego
oraz Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie"
ze środków Senatu RP
A „Polonia Węgierska" negyedévi melléklete
Alapítva 1987-ben a magyarországi
Bem József Kulturális Egyesület által
Támogatóink:
Magyarország Kormánya
az Országos Lengyel Önkormányzat
közvetítésével
valamint a „Keleten Élő Lengyelekért" Alapítvány
Wydawca:
Ogólnokrajowy Samorząd Polski na Węgrzech
Kiadja:
az Országos Lengyel Önkormányzat
DR. CSÚCS LÁSZLÓNÉ

Redaguje Kolegium w składzie / szerkesztik:
redaktor naczelna / főszerkesztő
BOŻENA BOGDAŃSKA-SZADAI
redaktor węgierski / magyar szerkesztő
ANDRÁS BENZA-ROMANOWSKI ASZTALOS
sekretarz redakcji / olvasó szerkesztő
MAGDALENA RAJTAR-SZABÓ
redaktor graficzny / grafikai szerkesztő
DUKAY BARNA
stali współpracownicy / főmunkatársak
MARIA ÁGOSTON, SÁRKÖZI EDIT,
SZALAI ATTILA, TATIANA SZYPULSKA,
TROJAN TÜNDE
współzałożyciel pisma, redaktor /
a lap egyik alapító szerkesztője:
JERZY KOCHANOWSKI

Adres / szerkesztőség címe:
1051 Budapest, V. Nádor u. 34.,
Tel. + 36 1 3110216
e-mail: glospolonii@bem.

hu ISSN 1219-7998

SERIART Nyomdaipari Stúdió Kft.